

Barbara Cartland

Sama w Paryżu

Alone in Paris



Od Autorki

Na całym świecie kabaret Moulin - Rouge utożsamiano z Paryżem i przyjemnościami, jakie oferowało to frywolne miasto rozrywek, miasto szampana, miłości, śmiechu, miasto poetów i malarzy. Złoty wiek Moulin - Rouge trwał nieprzerwanie przez pięć lat. Występująca w nim La Goulue szybko wykreowała się na primadonnę. Pamiętnego wieczoru bezceremonialnie zwróciła się do księcia Walii, który był wówczas zafascynowany Paryżem; „Hej, Walio! Ty płacisz za szampana!”

Pod koniec wieku pracowała w cyrku w klatce z lwami, a kilka lat później gruba i przedwcześnie postarzała była bez grosza.

Opublikowana w 1893 roku książka Maxa Nordau Degenerescence oddająca atmosferę tego okresu stała się sensacyjnym bestsellerem.

Rozdział 1

ROK 1892

Kiedy wjeżdżający na stację pociąg zaczął zwalniać, w jednym z wagonów guwernantka, która opiekowała się trzema dziewczętami, zwróciła się do Uny swoim ostrym i pełnym obaw głosem:

- Czy ktoś po ciebie wyjdzie?

- Na pewno mój ojciec - odparła Una. - Zawiadomiłam go tydzień temu, że przyjadę tym pociągiem.

- To chwała Bogu! - odrzekła guwernantka z ulgą w głosie.

Odkąd wyjechały do Francji, musiała mieć się stale na baczności, mając trzy młode panny pod swoją opieką, ale Una była tak usłużna i posłuszna, że mademoiselle od razu ją polubiła. Dzięki Unie podróż wydała jej się o wiele przyjemniejsza. Pozostałe dziewczęta, córki hrabiego de Beausoir, były rozbrykane i najwyraźniej znudzone towarzystwem guwernantki. Najmłodsza hrabianka de Beausoir, czternastoletnia Marie - Celeste, cały czas przysparzała nieszczęsnej opiekunce kłopotów i wciąż ją po kryjomu przedrzeźniała.

Una czuła, że starzejąca się mademoiselle trzymała się swojej pozycji w domu hrabiego, bo wszystkich już tam знаła i nie chciała zaczynać służby w nowej rodzinie. Nie była więc zbyt surowa w stosunku do swoich podopiecznych, choć Marie - Celeste stała się dla niej prawdziwym utrapieniem, odkąd opuściły Włochy.

Teraz kiedy przybyły do Paryża, Una z większym smutkiem żegnała się z tą kobietą o zamkniętej twarzy niż ze swymi towarzyszkami, z którymi spędziła w klasztorze ostatnie trzy lata.

Od dawna nie miała żadnych wieści od ojca i dlatego ostatni telegram bardzo ją zdziwił:

Przyjeżdżaj natychmiast! 9 rue de l'Abreuville, Montmartre, Paryż.

Zaniosła telegram do matki przełożonej, która przeczytawszy adres od razu się skrzywiła.

- Czy twój ojciec mieszka na Montmartrze? - spytała.

- Tak, wielebna matko. Jest artystą.

Matka przełożona zacisnęła usta, żeby czasem nie powiedzieć, co myśli nie tylko o artystach, ale i o samym Montmartrze.

- Napisałam tacie, wielebna matko - ciągnęła dalej Una - że mam już osiemnaście lat, a pieniądze, które mama zostawiła na moje wykształcenie, skończyły się. Spytałam, co mam dalej robić.

- I to ma być odpowiedź! - odrzekła zakonnica obrzucając telegram pogardliwym spojrzeniem.

- Chciałabym znów być razem z tatą... i tak jestem już za duża, żeby zostać w szkole.

- Nie życzylabym sobie, aby któraś z moich uczennic mieszkała na Montmartrze, a już na pewno nie młoda osoba w twoim wieku - oświadczyła stanowczo, myśląc w duchu, że mogłaby o wiele więcej powiedzieć na ten temat.

Dzielnica Montmartre stała się symbolem wszystkiego, co szokujące, i mimo że na wzgórzu w samym centrum tej dzielnicy artystów zbudowano wspaniałą bazylikę Sacre - Coeur, trudno było przymknąć oko na kabarety i inne wątpliwe miejsca rozrywki, o których się mówiło w całej Europie. O tym jednak matka przełożona nie chciała dyskutować ze stojącą przed nią dziewczyną, choć całą swoją duszą pragnęła ją odwieść od wyjazdu do Paryża.

Una zdawała sobie sprawę, że już nie może dłużej przebywać w szkole dla młodych panienek przy klasztorze - skończyła osiemnaście lat, a poza tym pieniądze zostawione przez matkę już się skończyły.

Matka przełożona była dyskretna i nigdy nie wtrącała się w sprawy rodzinne swoich uczennic, ale sytuacja Uny bardzo ją niepokoiła.

Matka Uny w swoim testamencie zastrzegła, aby cały jej skromny majątek został przeznaczony na edukację córki. Na miesiąc przed śmiercią osobiście napisała do klasztoru pod wezwaniem Najświętszej Panny we Florencji, pytając o szczegóły dotyczące nauki. Dowiedziała się bowiem, że była to najpopularniejsza szkoła dla szlachetnie urodzonych dziewcząt. Wykształcenie, które tam otrzymywały, było wyjątkowe jak na czasy, kiedy nawet najbogatsi uważali, że edukacja dziewcząt nie ma większego znaczenia.

Una była niezwykle inteligentna i matka przełożona usłyszawszy, że dziewczyna ma jechać do ojca, zastanawiała się, jaki też użytek zrobi ze swej wiedzy w najbliższych latach. Zawsze uważała, że artyści na ogół nie mają żadnych kwalifikacji oprócz umiejętności malarskich. Ojciec Uny, jak słyszała, również nie należał do tej kategorii malarzy, którzy często odwiedzają Florencję i inne skarbnice sztuki.

Juliusz Thoreau wcześniej służył w pułku grenadierów, zanim zajął się malarstwem i opuścił Anglię, by zamieszkać we Francji. Nigdy nie widziała żadnego z jego obrazów, tylko czytała przypadkowe o nich wzmianki i to nie w przeglądach sztuki (nigdy takich nie brała do ręki), lecz w codziennych gazetach, które od czasu do czasu pisały o wystawach i nowym trendzie w malarstwie.

Miała mgliste wyobrażenie o Juliuszu Thoreau jako dżentelmenie będącym raczej dyletantem w świecie sztuki. Patrząc na jego córkę nie miała wielkiej nadziei, że dopełni wobec niej ojcowskich obowiązków.

- Spodziewam się, Uno - odparła swym spokojnym głosem - że twój ojciec wprowadzi cię do towarzystwa... i oczywiście, ze względu na ciebie, opuści Montmartre.

- Kiedy żyła mama, byliśmy bardzo szczęśliwi w naszym małym domku pod Paryżem... Tata zwykł malować w ogrodzie, a gdy wyjeżdżał do Paryża, zostawałyśmy z mamą same.

- Z pewnością matka życzyłaby sobie, abyś przekonała ojca, żeby powrócił do dawnego trybu życia - ciągnęła dalej matka przełożona - O ile wiem, Uno, lubisz wieś i niełatwo ci będzie przyzwyczać się do życia w mieście.

Una pozostawiła te komentarze bez odpowiedzi. Myśl o zobaczeniu Paryża wydała jej się ekscytująca. Wiedziała, że ojciec wolał atrakcje najświetniejszego miasta w świecie niż smętną egzystencję na wsi. Jej matka rzadko jeździła do Paryża, między innymi z braku pieniędzy. Będąc dzieckiem, Una nauczyła się liczyć każdy grosz, gdyż często zdarzało się że ojciec, jak tylko zostawały jakieś oszczędności, potrafił je od razu wydać. Kiedy podrosła, dowiedziała się, że pieniądze w rzeczywistości należały do jej matki.

- Zapisał mi je dziadek - wyjaśniła Unie. - Inaczej nie wiem, co by z nami było...

Miała niecałe piętnaście lat, kiedy powiedziano jej, że ojciec musiał opuścić Anglię i swój regiment z powodu skandalu. Nigdy do końca nie dowiedziała się szczegółów. W każdym razie został zmuszony do złożenia rezygnacji i złorzecząc opuścił kraj, zabierając ze sobą dziewczynę, z którą zaręczył się w tajemnicy.

Ojciec jej matki kategorycznie nie zgadzał się na to małżeństwo i kiedy wyrodna córka uciekła z mężczyzną, którego uważał za łajdaka, nie chciał jej więcej widzieć.

Una urodziła się już we Francji. Kiedy była dzieckiem, matka opowiadała jej o Anglii, jak o utraconym rajy i dziewczynka wierzyła, że pewnego dnia odwiedzi ojczysty kraj swej matki.

Pani Thoreau zmarła nagle i niespodziewanie. Zanim Una zdołała otrząsnąć się po tym ciosie, już była w szkole przyklasztornej we Florencji, w której miała okazję zetknąć się z wieloma doskonałymi nauczycielami. Ponieważ interesowała się wszystkim, co dotyczyło Anglii, pilnie uczyła się angielskiego, angielskiej historii i literatury.

Przyjaźniąc się z Angielkami pochodzącymi z arystokratycznych rodzin dowiedziała się mnóstwa rzeczy o angielskim stylu życia i porównywała go z francuskim i włoskim.

- Ciekawe, co ją w życiu spotka... - zastanawiała się matka przełożona. - Mam nadzieję, Uno - powiedziała zwracając się do dziewczynki - że napiszesz mi, co się z tobą dzieje. Pamiętaj, zawsze możesz liczyć na moją życzliwość i pomoc, jeśli tylko to będzie możliwe.

- Wielebna matka była dla mnie bardzo dobra. Dziękuję za wszystko, czego się tu nauczyłam, i za wszelką pomoc podczas mojego pobytu.

- Pomoc...?

- Przyjechawszy do klasztoru zdałam sobie sprawę, jak wielu rzeczy jeszcze nie znam. Nie chodzi mi tylko o szkolną wiedzę...

- Wiem, co masz na myśli, kochanie - odparła matka przełożona.

- Cieszyłam się, że mama wybrała dla mnie właśnie ten klasztor - westchnęła Una. - Choć nie próżnowałam, zdaję sobie jednak sprawę, że wiele muszę się jeszcze nauczyć.

Matka przełożona uśmiechnęła się.

- Zapewniam cię, drogie dziecko, że nauczyłaś się więcej niż inne dziewczęta. Większość z nich będąc w twoim wieku myśli jedynie o małżeństwie.

- Pewnego dnia i ja chciałabym wyjść za mąż - oświadczyła Una - ale tymczasem mam nadzieję, że jakoś pomogę tacie.

- Ja też mam taką nadzieję - dodała stara zakonnica.

Długo jeszcze po wyjściu Uny matka przełożona siedziała w bezruchu. Zastanawiała się, czy nie powinna zrobić czegoś więcej dla tej niezwyklej i dziwnej dziewczyny. Mając niemałe doświadczenie, zdawała sobie sprawę, że zdobywszy rozległą wiedzę książkową, Una nic nie wie o otaczającym ją świecie, a w szczególności o mężczyznach. Bo skąd miała wiedzieć, skoro przybyła do klasztoru jako piętnastolatka i spędziła w jego murach trzy lata?

- Co się z nią stanie? - zapytywała siebie, modląc się, żeby poznała mężczyznę, który się z nią ożeni i zabierze z Montmartre'u.

Kiedy pociąg zatrzymał się, od razu obiegli go tragarze w niebieskich uniformach, wołając:

- Porteur! Porteur!

Patrząc przez okno, Una zaczęła wypatrywać w tłumie swego ojca, Ucałowała swoje towarzyszki podróży na pożegnanie i przyrzekła, że o nich nie zapomni.

- Musisz do nas napisać - oświadczyła Marie - Celeste. - Może spotkamy się pewnego dnia... jeśli ojciec pozwoli nam pojechać do Paryża. Mama twierdzi, że nie jest to miejsce dla statecznych panien.

- Chodź szybciej, Marie - Celeste! - krzyknęła guwernantka schodząc na peron.

Dziewczynka wykrzywiła się w jej kierunku i nadal rozmawiała z Uną.

- Uważaj na siebie...! Będziesz się świetnie bawić, kiedy wszyscy ci artyści będą malować twoje portrety... - dodała i wyskoczyła na peron.

Tłum parł w kierunku wyjścia, a Una podążyła za nim cały czas rozglądając się w poszukiwaniu ojca. Był wysoki, dystyngowany i wyglądał bardzo po angielsku, pomimo że czasami nosił dziwną i ekscentryczną odzież, która wyróżniała go z tłumu. Właśnie doszła do końca peronu, kiedy wyładowywano jej skórzany kuferek.

„Będzie lepiej, jak go odbiorę...” - pomyślała i znalazła tragarza, który chętnie się nim zajął.

- Czy ktoś po m'mselle wychodzi?

- Mój ojciec powinien czekać przy barierce - odparła.

Tragarz pokiwał głową i powlókł się dalej.

Przeczekawszy kilka minut pomyślała, że być może pomylił mu się dzień jej przyjazdu. Często się takie rzeczy zdarzały.

- Czasami wydaje się, że twój ojciec ma kurzą pamięć - zwykła mówić jej matka rozbawiona i zrozpaczona zarazem.

To była prawda. Przychodził na umówione spotkania w niewłaściwe dni, zapominał, co miał kupić dla nich w Paryżu, albo przywoził zupełnie co innego.

- Obawiam się, że ojciec zapomniał o mnie - powiedziała do tragarza po chwili.

- Niech się m'mselle nie martwi - odparł. - Zaraz znajdę jakąś dorożkę, która zabierze m'mselle, gdzie tylko zechce.

Powiedział to w tak opiekuńczy i ojcowski sposób, że uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Wręczyła mu, jej zdaniem, odpowiedni pourboir, a on wylewnie jej podziękował. Wydał się jednak bardzo zdziwiony, kiedy pokazała mu adres ojca na Montmartrze. Gdy wreszcie koń ruszył ze stacji, ogarnęła ją ogromna radość, że oto jest w Paryżu. I choć zdawało jej się, że minęły wieki, odkąd ostatni raz tutaj była, czuła się, jakby wracała do domu.

Wysokie szare budynki po obu stronach ulicy, zatłoczone bulwary, ludzie siedzący na tarasach kawiarenek przy

marmurowych stolikach, stragany, na których piętrzyły się kolorowe owoce - wszystko było jak dawniej!

Jadąc, myślała, że nawet kawa ma tu inny zapach niż we Włoszech.

Koń powoli włókł się pod górę. Nagle, oczom jej ukazała się wielka biała kopuła bazyliki Sacre - Coeur.

Una uczyła się, że po klęsce Francji pod Sedanem, jeden z jezuitów zaproponował, żeby Francja oddała się pod opiekę Najświętszego Serca. Od tej pory w każdym kościele można było słyszeć śpiew:

Boże, ocal Rzym i Francją w imię Najświętszego Serca!

W istocie, zajmując osłabioną Francję, Wiktor Emanuel przejął kontrolę nad Rzymem, a papież ogłosił się więźniem Watykanu. Sam pomysł budowy kościoła natychmiast okazał się sukcesem. Ze wszystkich stron napływały miliony franków. Arcybiskup Paryża, kardynał Guibert, zdecydował, że bazylika zostanie wzniesiona na Wzgórzu Montmartre'u.

W promieniach słońca, rozświetlających białe mury, świątynia wyglądała cudownie. Pomyślała, że to niemożliwe, by Montmartre był tak zepsuty, jak opowiadały w szkole dziewczęta. Nie była katoliczką, gdyż jej rodzice, rodowici Anglicy, byli wyznania protestanckiego, ale mieszkając w klasztorze, zetknęła się z religią katolicką, którą wyznawała większość jej koleżanek. Widziała, jak bardzo religia wzbogacała ich życie, i teraz myślała, że jakkolwiek grzesznym miejscem był Montmartre w przeszłości, teraz bazylika odkupi wszelkie zło.

Droga na Wzgórze była niewątpliwie tak stroma i trudna jak droga do nieba. Koń jechał coraz wolniej. Obserwowała ludzi Wyglądali inaczej niż ci, których widziała na bulwarach. Mężczyźni w aksamitnych marynarkach i wielkich, powiewających krawatach, kobiety w ekscentrycznych strojach jak na balu przebierańców. Wyglądali dziwnie, choć

jednocześnie ekscytująco. Una próbowała odgadnąć, którzy są chłopcami na posyłki, którzy właścicielami sklepów czy ubogimi urzędnikami.

Artyści szkicowali na chodnikach lub zbierali się na placu, gdzie właśnie kwitły kasztanowce. Widok był tak piękny, a całe miejsce tak kipiało radością, że wprost wstrzymała oddech z wrażenia. Miała nadzieję, że ojciec pozwoli jej pochodzić i popatrzeć na ludzi. Być może sam zna niektórych artystów.

Zajęta rozglądaniem się, nawet nie zauważyła, kiedy powóz zatrzymał się przed wysokim budynkiem, który rozpaczliwie wymagał odnowienia. Był tak zaniedbany i opuszczony, że wprawiło ją to w zakłopotanie.

- Oto jesteśmy, m'nselle! - krzyknął przez ramię woźnica.

- Dziękuję - odparła.

Woźnica zszedł z kozła powoli, bo był gruby i podstarzały. Otworzył drzwiczki i postawił kuferek na chodniku.

- Czy mam zanieść kuferek, m'nselle? - zapytał.

- Byłabym wdzięczna.

Weszli przez otwarte drzwi. Oczom ich ukazała się wąska klatka schodowa, brudna i obdrapana.

- Pod jaki numer idziemy, m'nselle?

Dom najwyraźniej mieścił kilka pracowni. Właśnie miała odpowiedzieć, że nie ma pojęcia, kiedy zauważyła napisane na tablicy trzy nazwiska. Jedno z nich należało do jej ojca.

- Cóż, przynajmniej wiemy, gdzie kto mieszka - spostrzegł woźnica.

- Ojciec mieszka pod trójką.

- To na górze - powiedział z rezygnacją i podążył po schodach pierwszy, kładąc sobie kuferek na ramiona.

Schody trzeszczały złowieszczo pod jego ciężarem. Na pierwszym piętrze na drzwiach ktoś napisał czarną farbą: Juliusz Thoreau.

Pełna podniecenia zapukała do drzwi. Ponieważ nikt się nie odezwał, ostrożnie je otworzyła. Spodziewała się, że pracownia może mieć dziwny wygląd, ale nie przypuszczała, że jest w niej taki bałagan. Sofa, krzesła i stół przemieszane były z kilkoma sztalugami, stołkiem dla modelki i długą drabiną. Wszędzie stały nie dokończone płótna.

- Wygląda na to, że porządne sprzątanie nie zaszkodzi, m'mselle - odparł żartobliwie stawiając kuferek na podłogę.

Zanim zdobyła się na jakąkolwiek odpowiedź, wyszedł. Na schodach słyszała ciężkie oddalające się kroki. Rozglądała się wokół rozmyślając, jak można żyć w takim nieładzie. Na końcu pokoju spostrzegła wąską klatkę schodową prowadzącą do sypialni. Przyszło jej nagle do głowy, że ojciec może być chory, co tłumaczyłoby jego nieobecność na stacji.

Weszła po schodach i znalazła się w pomieszczeniu, w którym stały: duże łóżko, szafka bez jednej nogi i kilka zepsutych krzeseł. Ściany udekorowane były jaskrawymi malowidłami półnagich kobiet. Oglądając je poczuła się zażenowana, jakby naruszała czyjeś sekrety, i szybko zeszła na dół.

Naprzeciwko dużego okna od północnej strony stała sztaluga z nie dokończonym obrazem. Poznała, że to praca ojca, choć bardzo zmienił styl malowania, odkąd ostatni raz widziała jego prace. Zawsze używał barw inaczej niż inni artyści. W jego sposobie kreowania światła było coś nadzwyczajnie pięknego. Jasność przyciągała uwagę, tło natomiast wydawało się nieważne. Próbowwała zrozumieć, co starał się przekazać przez swoją sztukę. Powiedział jej kiedyś, że prawdziwy artysta maluje to, co czuje, a nie to, co widzi. Jednak ten obraz wydał jej się zupełnie niezrozumiały; masa

mieszających się z sobą kolorów, bez żadnej konkretnej myśli przewodniej.

„Będzie musiał mi to wyjaśnić” - pomyślała.

Nagle usłyszała kroki na schodach i serce podskoczyło jej z radości. Znow zobaczy ojca, który rozwieje jej niepokój.

Na dźwięk otwieranych drzwi już chciała wykrzyknąć: „Tato!”, lecz zamiast ojca wszedł elegancko ubrany mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie cylinder, perłową spinkę do krawata i modnie skrojone ubranie, a ze swoją zakończoną złotą rączką trzciniową laską wydawał się zupełnie nie pasować do tej zagraconej pracowni. Wszedł z władcą miną i dopiero po chwili zdał sobie sprawę z obecności Uny.

Dziewczyna stała w promieniach słońca, które ozłociły jej dziewczęcy kapelusik i połyskiwały na złotych pasmach włosów wijących się nad czołem i na policzkach.

- Kim pani jest? - zapytał ostro nowo przybyły.

- Czekam... na ojca - odparła trochę zdenerwowana.

- Na ojca...?

- Tak. Kazał mi przyjechać do Paryża. Myślałam, że wyjdzie po mnie na stację, ale... być może minęliśmy się...

- Pani ojciec to Juliusz Thoreau? - Nieznajomy mówił powoli, jakby ostrożnie dobierając słowa.

- Tak, jestem jego córką Uną.

- Kazał pani przyjechać do Paryża...? Kiedy to było?

- Osiem, może dziewięć dni temu. Wysłał mi telegram do klasztoru we Florencji.

- Dziewięć dni... Tak, to możliwe.

- Czy coś się stało? Czy tata jest chory? Mężczyzna podszedł bliżej.

- Przykro mi panią poinformować, ale ojciec pani został wczoraj pochowany.

- Pochowany?! - wymamrotała z trudem.

Nieznajomy unikał jej wzroku i nagle zaczęła podejrzewać, że nie zamierza wyznać jej prawdy.

- Ojciec pani upadł. Był to chyba atak serca, bo kiedy go podniesiono, już nie żył.

Postanowił nie mówić tej dziewczynie, że jej ojciec był kompletnie pijany i spadając ze schodów złamał sobie kręgosłup.

Una zaniemówiła.

- To okropne. Jak to mogło się zdarzyć...?

- Być może, w pewnym sensie miał lekką śmierć...
Przynajmniej nie cierpiał.

- To pocieszające... Czy jest pan przyjacielem taty?

- Znałem go od wielu lat - odrzekł. - Uważał mnie za przyjaciela. Zajmowałem się sprzedażą jego obrazów.

- A... wiem kim pan jest! - wykrzyknęła. - Pan Filip Dubucheron!

- Czy ojciec opowiadał pani o mnie?

- Mama zwykła mówić: „Juliuszu, powiedz panu Dubucheron, że już skończyłeś obraz”.

Nie dodała, że to zdanie zwykle kończyło się: „Potrzebujemy pieniędzy”.

- Nie miałem pojęcia - oświadczył monsieur Dubucheron - że ojciec pani miał córkę, a do tego taką ładną.

Usłyszawszy komplement, Una trochę się zawstydziała. Monsieur Dubucheron natomiast uznał, że nigdy nie widział czegoś tak uroczonego jak powiększająca się czerwień jej policzków i lśniące oczy z długimi rzęsami. A były to oczy niezwykle; zielone z odrobiną złotego. Poetycko porównał je do blasku słońca na strumieniu.

Było coś czystego i nieziemskiego w tej dziewczynie, czego chyba nie widział w żadnej kobiecie. Po tej refleksji pomyślał sobie, że nigdy nie miał do czynienia z

dziewczętami z klasztoru. W pracowni Juliusza Thoreau bywały kobiety innego pokroju.

Kiedy dziesięć dni temu przyszedł do jego pracowni, wybiegła z niej jakaś kobieta wykrzykując jakieś sprośne obelgi, które często rozlegały się na Montmartrze. Juliusz Thoreau siedział przy sztalugach z pędzlem w ręku. Był pijany, jak zwykle przez ostatnie trzy lata. Tak się złożyło, że Dubucheron sprzedał już obraz, który Thoreau właśnie kończył malować.

- Co ty sobie myślisz, Thoreau? - spytał zdenerwowany - Powiedziałeś, że obraz będzie na dziś gotowy. Człowiek, który go kupił, wyjeżdża dziś wieczorem.

- No to może wyjechać bez niego - wymamrotał Thoreau.

- Nic mnie bardziej nie mierzi niż łamanie obietnic - odparł Dubucheron. - Co więcej, przecież potrzebujesz pieniędzy.

Nie mylił się. Juliusz Thoreau miał na sobie znoszoną koszulę, umazane farbą spodnie i parę zdartych filcowych kapci. Nie golił się już od dwóch dni. Niegdyś był przystojnym i wytwornym mężczyzną, ale alkohol zrobił swoje: utył i cuchnął tak jak cała pracownia.

- No cóż, skoro nie skończyłeś obrazu na czas, nie mogę go sprzedać. Jeśli będziesz chciał się ze mną zobaczyć, daj mi znać, bo nigdy, obiecuję, nigdy nie sprzedam twojego obrazu, dopóki nie będzie zupełnie skończony.

- Skończę go, skończę! - zawył Thoreau - Poczekaj jeszcze kilka godzin.

- Bez modelki? - spytał.

- Do licha z modelką! Do licha z tymi małymi nierządnicami! Wszystko, czego chcą, to pieniądze. Ta nie chciała nawet usiąść, póki jej nie zapłacę.

- One też muszą zarabiać - odparł ostro. - Przestań robić z siebie durnia, Thoreau. Nie możesz go skończyć bez modelki. Sprowadź ją z powrotem!

- Nigdy! Nawet gdyby mnie błagała na kolanach! Potrzebuję modelki, która by rozumiała, co próbuję stworzyć.

- Na Montmartrze nie znajdziesz nikogo, kto będzie pracował za darmo.

- Mam! - wykrzyknął nagle Thoreau. - Mam modelkę, jakiej szukałem. Będzie mi pozować, bo mnie kocha, słyszysz... kocha mnie!

- Słyszę, choć Bóg raczy wiedzieć, dlaczego jakakolwiek kobieta mogłaby cię kochać - odparł i zde gustowany udał się w kierunku drzwi. - Przyjdę, kiedy obraz będzie gotowy. Inaczej żegnaj, Thoreau.

Był zdenerwowany, gdyż liczył na Thoreau i zawiódł swojego klienta.

Sprzedaż obrazów nie była wtedy sprawą łatwą. Gdyby nie zajmował się innymi zyskownymi przedsięwzięciami, mógłby nawet znaleźć się w biedzie. Jednak dzięki temu, że potrafił handlować wszystkim, co tylko wpadło w jego rękę, nie mógł narzekać na brak pieniędzy.

Długie milczenie wprawiło Unę w zakłopotanie.

- Czy może mi pan powiedzieć, gdzie pochowano tatę? - spytała cicho.

- Tak, oczywiście. - Widział, że wstrzymuje łzy.

- Rzadko do mnie pisał - wyszeptała, ale jeśli już dostałam list, wydawało mi się, że wszystko jest w porządku. - Nie miałam pojęcia, że ojciec mieszkał w takich warunkach.

Znów zapadła cisza, po chwili odwróciła się. W jej oczach pojawiły się łzy, ale starała się zapanować nad sobą.

- Być może nie wypada pytać o to w tej chwili... ale czy wszystko tu należy do mnie?

- Nie mam pewności, czy ma to jakąś wartość... - odparł pogardliwie.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Ma pani jakieś pieniądze, prawda?

- Nie.

- Nie rozumiem... Przecież przez wszystkie te lata, kiedy nie mieszkała pani u ojca, musiała pani z czegoś żyć.

- Byłam w szkole.

- A kto za nią płacił?

- Mama. Gdy umarła, cały swój majątek przeznaczyła na moją edukację.

„To było mądre posunięcie - pomyślał. - Inaczej Thoreau przepiłby wszystko”.

- Dlaczego nagle zapragnęła pani mieszkać z ojcem?

- Napisałam do niego, że mam już osiemnaście lat, skończyłam szkołę i moje pieniądze również się skończyły.

„A więc to list sprawił, że Thoreau zaprosił do siebie córkę z zupełnie egoistycznych powodów” - pomyślał.

- No cóż, teraz kiedy ojciec pani nie żyje, musi pani jechać do krewnych w Anglii.

- Nie mogę!

- Dlaczego?

- Nie znam nikogo z rodziny... Kiedy mama uciekła z tatą, wszelkie kontakty zostały zerwane.

- Naprawdę? - popatrzył na nią ze zdziwieniem. - Czy chce pani przez to powiedzieć, że jest zupełnie sama.

- Obawiam się, że tak... i nie wiem, co mam robić. - Rozejrzała się po brudnej pracowni. - Gdybym miała tutaj zamieszkać, myśli pan, że dostałabym jakąś pracę?

- Chce pani mieszkać tu sama?

- A jakie mam inne wyjście?

Pomyślała o szkolnych koleżankach. Wszystkie wróciły do swych bogatych rodzin. Wyglądała przy tym tak samotnie, że Filip Dubucheron powiedział, sam się sobie dziwiąc:

- Niech się pani na razie nie martwi. Na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie.

„Muszę chyba być pomyłony - myślał przy tym. - Co zrobię z dziewczyną prosto z klasztoru, niewykształconą i niewinną. Z pewnością taka jest, skoro myśli, że będzie mogła mieszkać sama i pracować na Montmartrze. Jediną możliwą dla niej pracą jest...” - tu przerwał rozmyślenia, bo właśnie przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Powiem pani, co zrobimy - uśmiechnął się do niej uspokajająco. - Pomówimy o tym później, gdyż teraz muszę iść na umówione spotkanie. Kiedy wrócę, pomyślimy, jak rozwiązać pani problemy.

- To bardzo miło z pana strony... Czy to czasem nie sprawi panu kłopotu? - Jej oczy rozbłysły na chwilę.

- Żadnego. Muszę niestety teraz panią opuścić. Biorę jedno z płócien pani ojca, by pokazać go komuś, kto dwa lata temu zakupił inny jego obraz... Oczywiście, jeśli dojdzie do transakcji, pieniądze trafią w pani ręce.

- Na pewno go pan sprzeda! - wykrzyknęła. - Nie chcę pana zamartwiać moimi problemami, ale zostało mi jedynie dwadzieścia pięć franków. Podróż była droga...

- W to nie wątpię. A teraz muszę już iść. Zdjął ze ściany obraz przedstawiający jedną z uliczek na Montmartrze w świetle księżyca.

„W tej okropnej rupieciarni wygląda jak przebiśnieg na gnojowisku” - pomyślał wychodząc i sam się zdziwił, że jest taki sentymentalny.

- Kiedy wyjdę, proszę zamknąć drzwi na kłódkę i nie wpuszczać nikogo, póki nie wrócę.

- Myśli pan, że ktoś tu może przyjść?

„Gdyby ktokolwiek przyszedł i zobaczył ją, trudno byłoby namówić go do wyjścia” - pomyślał i głośno powiedział:

- Teraz kiedy wieść o śmierci pani ojca się rozeszła, zawsze znajdują się ludzie domagający się rzeczy, do których nie mają prawa.

- A... rozumiem.

- Więc proszę robić, co mówię. Odpoczywać i czekać na mój powrót.

- Ale pan wróci...?

To zabrzmiało jak prośba dziecka, które nie chce samo zostać w ciemności lub podczas burzy.

Ten wyrachowany handlarz wszystkim, co przynosi zysk, poczuł w sobie nagle opiekuńczą żyłkę.

- Przyjdę na pewno - odparł z uśmiechem. - Zapewniam panią, nigdy nie łamię obietnic. Tylko proszę być grzeczną dziewczynką i zrobić, co powiedziałem.

Schodząc ze schodów, usłyszał zgrzyt przekręcanego klucza w kłódce, która bezwzględnie wymagała naoliwienia.

Książę Wolstanton przybył do swego domu w Paryżu w złym humorze. Choć jego majordomus wysłał wiadomość o przyjeździe księcia poprzedniego dnia, wszystko zdążono przygotować. Trudno byłoby znaleźć jakąkolwiek usterkę w ustawionych w szeregu lokajach w liberiach Wolstantonów, w kwiatach ozdabiających salon i nieskazitelnej czystości domu, który lśnił jak srebra stojące na stole w jadalni.

Książę jednak przyjął powitanie kamerdynera z nadętą miną, mruknąwszy coś pod nosem, wszedł do salonu i rzucił się na wygodną kanapę. Zaraz podbiegło do niego dwóch lokajów ze schłodzoną butelką szampana. Wziąwszy kieliszek ze złotej tacki, książę sącył go bez entuzjazmu.

Opuścił Londyn pod wpływem impulsu, ponieważ podjął jedną z ważniejszych decyzji w swoim życiu. Tylko on mógł być zdolny do takiego postępowania - bezwzględnego i

zadającego rany. Komu innemu by tego nie wybaczone, ale księżę Wolstanton był zbyt ważny, zbyt bogaty i zbyt atrakcyjny, by ktokolwiek go potępił.

Był pewny, że Rose Caversham z wściekłością obgryza teraz paznokcie, i spodziewał się, że z jutrzejszą pocztą dostanie kilka stron ostrych wymówek napisanych w chwili, kiedy złość doprowadziła ją do szału. Lady Caversham znana była ze swego porywczego temperamentu.

Dobrze nie pamiętał, kto zaczął kłótnię, która skończyła się oświadczeniem Rose, że jest najbardziej samolubnym mężczyzną na ziemi, że zrujnował jej reputację i że jedynym sposobem na zadośćuczynienie krzywdy, jaką jej zrobił, jest małżeństwo.

To był pretekst, z którym jak dotąd zawsze udawało się księciu poradzić, choć przez pewien czas przypuszczał, że prędzej czy później ożeni się z Rose. I tak musi się z kimś ożenić i mieć potomka, który przejmie posiadłości Wolstantonów - największe na Wyspach Brytyjskich. Sam jednak zamierzał zdecydować o tym, kiedy to nastąpi. Wiedział, że mówiono o nim i o Rose, ale każda kobieta, z którą się zadawał, nawet i przez jeden wieczór, natychmiast stawała się ofiarą plotek i brukowej prasy. Nic bowiem bardziej nie bawiło dziennikarzy, niż spekulacje, kogo poślubi księżę Wolstanton i jak szybko te zaślubiny będą mieć miejsce.

Kłótnia z Rose mogła się skończyć na pocałunkach, co zwykle było nieuniknione przy tego rodzaju waśniach, gdyby Rose, która straciła cierpliwość, i nie tylko zbesztala księcia, że się z nią nie ożenił, ale również zaczęła mu grozić. Takich rzeczy nie tolerował u nikogo. Tym razem posunęła się za daleko. Wszedł z jej sypialni trzaskając drzwiami. Wracając do domu własnym powozem wyposażonym w dwa konie,

zmęczonego woźnicę i ziewającego lokaja, zdecydował się wyjechać z Londynu.

Posiadał domy w całej Europie, które w każdej chwili były gotowe na jego przyjęcie. Miał ogromną willę na południu Francji, zamek w Szkocji, dom myśliwski w Leicestershire, dwór w Irlandii (nie odwiedzał go przez ostatnie pięć lat!).

Wybrał Paryż, gdyż wiedział, że to najbardziej rozżłości Rose. Na pewno będzie okropnie zazdrosna o te wszystkie rozkoszne chwile, które on spędzi w tym frywolnym mieście w towarzystwie dam z półświatka o wątpliwej reputacji.

- Tak sobie myślę... może by następnym razem Blaze pojechał ze mną do Paryża - drażnił się ksiązę Walii z Rose kilka tygodni temu. - Wprawdzie jako kawaler sam dobrze się bawię, ale Blaze mówi, że nie znam pewnych „zakazanych” miejsc, gdzie właściwie nie powinienem się pokazywać.

- Jeśli Blaze pojedzie do Paryża, pojedę razem z nim! - oświadczyła obrzucając go znaczącym spojrzeniem.

- To dopiero byłoby dolanie oliwy do ognia! - odparł śmiejąc się ze swego żartu.

Książę Wolstanton był w istocie inteligentnym mężczyzną, a ponieważ czas mu się dłużył, spędzał go, jak większość młodych ludzi z jego sfery na uwodzeniu pięknych kobiet, nie zastanawiając się, czy jest lepsze zajęcie.

Życie zawsze było dla niego zbyt proste: był bogaty i poważany, a przy tym niezwykle przystojny. Kobiety mdlały na jego widok. Odkąd skończył Oksford, wiedział, że wszystkie są gotowe paść mu w ramiona, nawet zanim dowie się, jak mają na imię.

„To tak jak jedzenie pate de foie gras. Od czasu do czasu jest pyszne, ale nadmiar staje się nudny...”

Kobiety otaczały go wszędzie, może dlatego - jakby im na przekór - pozostał do tej pory kawalerem, choć miał już prawie trzydzieści pięć lat. Wszyscy jego przyjaciele dawno

ulegli naciskom rodziców i kobiet, którym udało się schwytać ich w swoje sidła i poprowadzić do ołtarza.

Czasami, kiedy był sam, zastanawiał się, czy w owym monotonnym łańcuchu kobiet pięknych, uwodzicielskich i fascynujących, pojawi się w jego życiu jakaś inna, która nie pójdzie w zapomnienie.

Takie rozmyślanie wprawiało go w przygnębienie, toteż wyjeżdżał z jednego domu do drugiego, mając nadzieję, że wreszcie uda mu się znaleźć chwilę samotności.

- Czuję się jak ścigany jeleń - wyznał kiedyś jednemu z przyjaciół.

- Niewątpliwie jeleń, ale królewski - odparł tamten i książę wybuchnął śmiechem.

Kiedy wszedł jego majordomus, książę odłożył kieliszek szampana.

- Nie chcę widzieć żadnych gości, Beaumont - powiedział. - Żadnych spotkań...

- Tak jest, wasza książęca mość. Beaumont zajmował się nie tylko prowadzeniem domu księcia, ale już od wielu lat był jego przyjacielem.

- Do licha, Beaumont! Pewnie myślisz, że ten nastrój nie potrwa dłużej niż dwadzieścia cztery godziny...

- Właśnie taką żywią nadzieję - odparł majordomus.

- Dlaczego? - zapytał zaciekawiony książę.

- Ponieważ śmiem mniemać, że zmiana otoczenia jest tym, czego teraz pan potrzebuje.

- A czy Paryż taką zmianę mi zagwarantuje?

- Jeśli nie będzie pana prześladowała gromada pochlebców powtarzająca każde pańskie słowo i mająca dokładnie takie samo zdanie o wszystkim...

Po raz pierwszy od wyjazdu z Londynu książę wybuchnął szczerym śmiechem.

- Zatrudniam cię jako majordomusa, nie jako lekarza - odrzekł po chwili - ale jak brzmi twoja recepta?

- Zażyłbym odrobinę Moulin - Rouge, łyżeczkę Theatre de Varietes i oczywiście potrzebny jest jakiś zmysłowy głos, lepiej z francuskim akcentem, by prawić panu komplementy.

- Zwalniam cię! - krzyknął ze śmiechem książę. - Nie mogę zatrudniać kogoś, kto ma dla mnie tak niewiele szacunku.

- Szanuję pana na tyle, by pragnąć pańskiego szczęścia.

- A co to jest szczęście?

- Na to pytanie każdy może sobie sam odpowiedzieć, ale powiem panu, czym na pewno nie jest: nie jest cynizmem!

- Chcesz przez to powiedzieć, że jestem cyniczny?

- W ciągu kilku ostatnich lat staje się pan z dnia na dzień coraz bardziej cyniczny i obojętny na wszystko. Nic już pana nie cieszy, no może troszeczkę pańskie konie... A to szkoda, wielka szkoda...

- To bardzo szczerza odpowiedź, Beaumont.

- Nośłem się z zamiarem powiedzenia tego jut od dłuższego czasu - dodał majordomus. - Powiem szczerze, może mnie pan zresztą za to znienawidzić, ale uważam, że marnuje pan swoje życie.

Książę wyprostował się na krześle.

- Rzeczywiście tak myślisz? - zapytał przestraszony.

- Inaczej nie powiedziałbym tego.

- Masz rację... W pewnym sensie jesteś mi bardziej bliski niż ktokolwiek inny. Nienawidziłem mojego ojca. Mam wielu znajomych, ale nigdy nie chciałem zaprzyjaźnić się z żadnym z nich. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mówię prawdę i od którego zawsze spodziewam się ją usłyszeć.

- Dziękuję panu - odrzekł Beaumont. - Jestem wprawdzie pięć lat starszy, ale na pewno bardziej szczęśliwy, choć nie

posiadam pańskich majątków i zalet, z których rzadko pan robi użytek.

- A cóż to za zalety?

- Po pierwsze, pański rozum.

Książę wstał i podszedł do okna patrząc na pięknie utrzymany ogród.

- Czy naprawdę jest mi potrzebny...? Przydaje się jedynie do robienia pieniędzy, a mnie starczy ich nie tylko na całe życie, ale i na pół tuzina innych... No to po co mi rozum? Chyba tylko, żeby wprowadzić mnie w ciągłe niezadowolenie.

- Ta refleksja brzmi bardzo zachęcająco - zauważył Beaumont.

- Co, do diabła, przez to rozumiesz?

- Czy pamięta pan, że Napoleon mówił o „boskim” niezadowoleniu? Tego właśnie wszyscy potrzebujemy: niezadowolenia z warunków, które nie są doskonałe; z ludzi, którzy nie robią, co do nich należy, i z siebie samych, bo nie możemy zrealizować naszych najwyższych aspiracji...

- Mój Boże! - wykrzyknął książę. - Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

- Myślałem o tym, ale jakoś nie było okazji, a pan mnie nie pytał.

To mówiąc spojrział na księcia z oczami pełnymi zrozumienia.

- Mam przeczucie... choć mogę się mylić, że właśnie stoi pan na rozstaju dróg swojego życia. Od pana zależy, którą z nich pan wybierze.

- To brzmi trochę dramatycznie. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, którą z nich wybrać, czy skrećę w prawo, czy w lewo. Właściwie to wszystko jedno...

- Nie zgadzam się. Kiedyś wróci pan pamięcią do tej chwili i przypomni sobie, że pan stał na rozstaju dróg.

- Cóż, myślałem, że przyjeżdżając do Paryża zrobiłem coś niezwykłego... Nie miałem pojęcia, że czeka mnie wysłuchiwanie kazań!

- Zawsze może je pan zignorować... Zresztą podejrzewam, że to właśnie pan uczyni.

- Odejdź! - krzyknął książę. - Odejdź i pozwól mi delektować się złym humorem i depresją! Przez ciebie czuję się jeszcze gorzej, nigdy się tak nie czułem.

- Oczywiście! - odparł Beaumont. - A teraz, czy zechciałby mi pan powiedzieć, w którym teatrze mam zarezerwować miejsca na wieczór i gdzie chciałby pan zjeść kolację.

Ledwo co skończył mówić, kiedy drzwi otworzyły się i służący oznajmił:

- Monsieur Filip Dubucheron, wasza książęca mość.

Rozdział 2

Beaumont, który nie zdążył poinstruować służby, że książę nie życzy sobie nikogo widzieć, opuścił pokój zaraz po wkroczeniu Filipa Dubucheron.

Dubucheron był typem intruza, jakiego książę najbardziej nie znosił. Zawsze znajdował jakąś wymówkę, że ma coś nadzwyczajnego do sprzedania. Jednocześnie sposób, w jaki zaopatrywał swoich klientów w kobiety lub zatrudniał je w obleśnych kabaretach i innych domach rozrywki, budził obrzydzenie. Ludzie pokroju Dubucheroną jeszcze bardziej przyczyniali się do książęcego cynizmu.

Beaumont sam się sobie dziwił, że miał odwagę powiedzieć księciu prawdę w oczy, ale jego pan zaczął schodzić na drogę, która narażała na szwank jego reputację. Osobiście podziwiał księcia, od wielu lat wiernie mu służył i choć oferowano mu wiele ciekawych stanowisk, wolał być książęcym majordomusem. W przeciwieństwie do innych ludzi fortuna księcia wcale nie robiła na nim wrażenia.

Był człowiekiem z zasadami. Wychowywał się w rodzinie, gdzie obowiązki zawsze stały na pierwszym miejscu. Już dawno więc zdecydował, że jego obowiązkiem jest opiekowanie się księciem Wolstantonem i w miarę możliwości ratowanie go przed samym sobą. Nie potępiał ani trochę jego stylu życia. Uważał, że młody mężczyzna, w dodatku z atutami księcia, powinien korzystać ze wszystkich dobrodziejstw, którymi płeć piękna chce go obdarować. Ale książę nie był już tak młody jak wtedy, gdy Beaumont wprowadził się do jego domu na Park Lane. Miał prawie trzydzieści pięć lat, a jest to wiek, w którym należałoby się ustatkować.

Nikt nie wiedział lepiej od wiernego sługi, jak ważne jest dla księcia małżeństwo i to z odpowiednią kobietą, toteż w skrytości ducha cieszył się, że nieposkromiony temperament

lady Rose tak szybko zniechęcił księcia i wpłynął na jego decyzję wyjazdu do Paryża. Beaumont nie lubił lady Rose, podobnie jak nie lubił większości kobiet, które w ostatnich kilku latach rozpaczliwie próbowały usidlić księcia. Czasami jednak zapytywał sam siebie, cynicznie jak jego pan: czy jest inne wyjście...

Kobiety, które spotykał na dworze księcia Walii lub które sam zapraszał, były wyrafinowane i błyskotliwe w towarzystwie. Z umiejętnością wprawnego kłusownika potrafiły ustrzelić swą ofiarę. Toteż za każdym razem, kiedy na horyzoncie pojawiła się nowa kobieta, Beaumont jęczał i zgrzytał zębami, a poznawszy ją bliżej powtarzał bez końca: - Tylko nie ta, dobry Boże, nie ta!

Książę spoglądał na przyniesiony obraz.

- Skąd wiedziałeś, że przyjechałem? - zapytał Dubucheron uśmiechającego się przymilnie z nadzieją zrobienia dobrego interesu.

- Z popołudniowego wydania „Le Jour”. Miło znów widzieć waszą książęcą mość, mam coś, co pana zainteresuje.

- Mogłem się domyślić - powiedział książę. - Cóż to takiego?

- Ostatni obraz Juliusza Thoreau, namalowany tuż przed śmiercią.

To była oczywiście nieprawda. Obraz został namalowany dwa lata temu, ale Dubucheron uzyskał upragniony efekt.

- Nie miałem pojęcia, że Thoreau nie żyje.

- Umarł tydzień temu powalony chorobą, która zazwyczaj zabiera z tego świata najlepszych artystów.

- Absynt?

- Właśnie - to mówiąc rozpakował obraz, jego zdaniem najlepszy, jaki Thoreau namalował.

Książę również zauważył ciekawe oddanie światła na tej raczej obskurnej ulicy.

- Trudno mi to wytłumaczyć - odezwał się wreszcie - ale obrazy Thoreau jakoś dziwnie na mnie działają. Wydaje mi się, że do mnie przemawiają... Ile za to chcesz?

Dubucheron wyznaczył cenę dwa razy większą niż ta, za którą spodziewał się sprzedać obraz, ale księżę ani jej nie przyjął, ani nie zaprotestował. Wciąż patrzył na obraz.

- Czym się teraz pasjonują paryżanie? Czy na teatralnej scenie pojawiła się nowa gwiazda? - spytał nagle.

- Znam kogoś, kogo na pewno chciałby pan poznać.

- Mianowicie...?

- Mam na myśli Yvette Joyant. Jest uznaną tancerką, jej osobowość jest bardziej wyjątkowa niż talent.

- Nie słyszałem o niej.

- Ostatnio nie występowała. Była kochanką księcia d'Almare, ale ten właśnie ją porzucił i teraz, jak to mówią w teatrze, „ma przerwę”.

- Sugerujesz, że mógłbym złożyć jej ofertę?

- Z pewnością pana rozbawi, ale muszę ostrzec, że to najbardziej niebezpieczna kobieta, jaka kiedykolwiek parała się tą profesją.

- To dopiero wyzwanie! Muszę przyznać, że też jestem starym wygą ale chętnie nauczę się nowych sztuczek... - odparł księżę. - Jeśli jednak będzie mnie nudzić, miej się na baczności.

- Wasza książęca mość lubi ze mnie żartować - Dubucheron ukłonił się służalczo. Jeśli Yvette nie przypadnie panu do gustu, mam inną propozycję.

- Jaką?

- Może chciałby pan poznać córkę Thoreau?

- Córkę?! - wykrzyknął księżę. - Czy jest artystką jak jej ojciec?

- Nie, jest bardzo młoda, bardzo niewinna i właśnie przyjechała do Paryża, by dowiedzieć się, że jest sierotą bez środków do życia.

- Chcesz, abym odgrywał rolę filantropa? Pewnie suma, jaką ci zapłacę za ten obraz, zapewni jej godziwe warunki przynajmniej na tydzień.

- Myślałem tylko... Te kobiety są tak od siebie różne... to jakbym proponował zstąpienie do piekieł lub wejście do nieba.

Dubucheron był zadowolony z tak oryginalnego porównania. Nie miał pojęcia, że właśnie przed chwilą Beaumont powiedział księciu, że stoi na rozstaju dróg.

- To dopiero zagadka - zauważył książę.

- Wybór należy do pana, ale rzeczywiście sprzedaż tego obrazu w pewnym stopniu poprawi sytuację panny Thoreau. Jest jednak zbyt młoda i niedoświadczona, żeby zostawić ją samą w Paryżu.

- Próbujesz mnie zaintrygować, lecz pamiętaj, że zawiodłem się na twoim ideale niewinności... Pamiętasz Mimi Fenon?

- Przyznaję, wasza książęca mość, dałem się oszukać bardzo doświadczonej i sprytniej aktoreczce. Ale mam usprawiedliwienie: wyglądała naprawdę niewinnie.

- Kosztowała mnie sporą sumkę, co przyprawilo Beaumonta o ciężkie westchnienia - odparł książę - ale patrząc z perspektywy czasu, ta lekcja życia była tego warta.

- A czego się pan nauczył?

- Nigdy nie ufaj kobiecie, która mówi, że nie ma ani pieniędzy, ani domu.

- Wspaniale, wasza książęca mość! Czy mam w pana imieniu zaprosić Yvette, na kolację?

- Zaufam jeszcze raz twojej opinii, Dubucheron. Sprawa z Mimi Fenon nie była kompletnym fiaskiem. Dopiero kiedy

rozpakowałem paczkę, spostrzegłem, że zawartość nie była taka, jak oczekiwałem.

Dubucheron z przesadą wyraził swoje rozbawienie z dowcipu.

- Dobrze powiedziane, wasza książęca mość! - Nic dziwnego, że mówią o panu: największy angielski żartowniś, jaki postawił stopę na paryskim bruku.

Na to pochlebstwo książę wcale nie zwrócił uwagi i znów spojrzał na obraz.

- Wychodząc, wstąp do biura Beaumonta i poproś o czek.

- Dziękuję, wasza książęca mość. Zastanawiam się, czy gdyby Thoreau zostawił w swojej pracowni jeszcze jakieś obrazy, chciałby je pan zobaczyć?

- Czemu nie. Podobają mi się jego dzieła. Szkoda, że już nie żyje. Nie mógł być bardzo stary.

- Miał zaledwie czterdzieści pięć lat.

- Mógłby jeszcze wiele namalować obrazów, gdyby nie potworny nałóg. Jeden z waszych generałów opowiadał mi o szkodach, jakie spowodowała w armii.

- To przekleństwo dla całej Francji - zgodził się Dubucheron jednocześnie rozmyślając, co jeszcze mogło zostać w pracowni Thoreau. - Przyjdę jutro, wasza książęca mość. Życzę przyjemnego wieczoru z ponętą Yvette. Zostawię jej adres u Beaumonta.

Kiedy ręka Dubucheroną dotykała klamki, książę wciąż wpatrzony w obraz wykrzyknął:

- Poczekaj! Mam pomysł! Dlaczego miałbym zapraszać mademoiselle Yvette nie będąc jej przedtem oficjalnie przedstawiony?

- Przedstawiony...? - spytał zakłopotany Dubucheron.

- Dzisiaj zjesz kolację ze mną razem z córką Thoreau. Będzie nas akurat czwórka - po czym dodał uśmiechając się nieco cynicznie. - Kiedy zobaczę obie damy, będę mógł

dokonać wyboru; czy zstąpić do piekieł, czy wstąpić do niebios.

Przez chwilę Dubucheron zaniemówił ze zdziwienia. Nigdy dotąd księżę nie zaprosił go na kolację, spotykali się tylko w interesach.

- Zjemy tutaj - ciągnął dalej księżę. - Będę mógł swobodnie przyjrzeć się damom. Proponuję, żebyś przywiózł je o ósmej.

- To wielki zaszczyt i przywilej, wasza książęca mość - wymamrotał zdziwiony Dubucheron. - Obiecuję, że ten pierwszy wieczór w Paryżu będzie smakował - tu przerwał na moment i dodał - jak chiński słodko - kwaśny sos!

Nie czekając na odpowiedź księcia, opuścił pokój z uśmiechem na ustach, który rozzłościł Beaumonta.

Kiedy Una czekała na powrót Dubucheron, słońce powoli zachodziło i cienie w zaniedbanej pracowni zaczęły się powiększać. Chciała najpierw uporządkować graty, które przeszkadzały w poruszaniu się, ale po chwili porzuciła ten zamiar. Wszystko było takie brudne i zakurzone, a ona czuła się już bardzo zmęczona. Starła się nie patrzeć na bałagan. Pomyślała, że powinna być pogrążona w bólu po śmierci ojca, ale siedząc tu czuła, iż straciła kogoś, kogo nie знаła, kogoś, kto na pewno nie był tym przystojnym ojcem, którego tak kochała. Puste butelki leżały na podłodze, na stole stały jak kręgle wzdłuż parapetu. Widok ten nasuwał pytanie, na które nie miała ochoty otrzymać odpowiedzi.

Trudno było w tym momencie nie myśleć o swoim kłopotliwym położeniu. Gdyby monsieur Dubucheron sprzedał obraz, miałyby przynajmniej trochę pieniędzy, a to dałoby jej czas na znalezienie mieszkania i pracy. Najdziwniejszą rzeczą było to, że lata spędzone w szkole nie dały jej żadnych praktycznych umiejętności.

- Potrafię trochę grać na pianinie - mówiła do siebie - malować w sposób bardzo amatorski, szyć... i to chyba wszystko. Muszę coś wymyślić! Muszę!

W końcu pomyślała, że może w jakiejś szkole potrzebują guwernantki, która uczyłaby angielskiego i opiekowała się małymi dziećmi. To brzmiało bardzo sensownie. Nagle przypomniała sobie, że ma niewiele lat i bardzo młodo wygląda.

Wstała z krzesła w poszukiwaniu lustra, aby przyjrzeć się swojemu odbiciu. Jedyne pęknięte lustro znalazła na piętrze w sypialni ojca. Przez długi czas przyglądała się sobie, zastanawiając się, czy ta młoda i przestraszona twarz w lustrze to tylko wytwór jej dziecinnej wyobraźni.

Pólnagie kobiety na ścianach zdawały się przesyłać jej pogardliwe spojrzenia i aby uniknąć ich wzroku pośpiesznie zbiegła z chwiejnych schodów na dół. Poczowała się głodna, ale wiedziała, że nie wolno jej ani opuszczać pracowni, ani nikogo do niej wpuszczać.

- Co robić... ? - zdawały się krzyczeć obrazy ze ścian.

Podeszła do okna i patrząc w niebo, zaczęła się modlić. Odkąd umarła jej matka, szeptała swoje modlitwy czasami do niej, a czasami do Boga. Często naiwnie myślała, że Bóg jest zbyt zajęty, żeby ją wysłuchać, najczęściej więc zwracała się do matki. Myśl o niej zawsze wyciskała Unie łzy z oczu.

- O mammo - wyszeptała. - Pomóż mi... Co mam robić? Gdzie iść? Jestem taka samotna...

Powiedziawszy ostatnie słowa usłyszała kroki na schodach i pośpiesznie otarła łzy.

- Mademoiselle? To ja, Filip Dubucheron.

Z okrzykiem wdzięczności, że przyszedł, podbiegła i otworzyła drzwi.

- Wrócił pan!

Dubucheron wydawał się bardziej elegancki i ujmujący niż przedtem.

- Wróciłem - odparł - i mam dla pani dobrą wiadomość.
 - Jaką?
 - Sprzedałem obraz i po zrealizowaniu czeku wręczone pani niezłą sumkę.
 - Dziękuję panu, jestem taka wdzięczna.
 - Mam coś jeszcze do zakomunikowania. Mój klient, zresztą miłośnik obrazów pani ojca, zaprosił panią dziś wieczorem na kolację.
 - Czy to przyjaciel ojca? Dubucheron potrząsnął głową.
 - Nie, ale przed rokiem kupił jego obraz i teraz też jest zachwycony swoim nowym nabytkiem.
 - Tak się cieszę, tak bardzo się cieszę! To bardzo miło z jego strony, choć jestem pewna, że pan mu to zasugerował.
 - Jesteś bardzo spostrzegawcza, moja droga.
- A teraz przygotuj się do kolacji u jego księżęcej mości na rue du Faubourg St. Honore. Czy masz suknię wieczorową?
- Tak, w moim kuferku.
 - Tutaj raczej nie będziesz mogła się przebrać - powiedział rozglądając się po pracowni. - Wątpię, czy jest jakaś woda, w której można się umyć.
 - Jest kran w brudnej kuchni.
 - Zabiorę cię gdzie indziej - oświadczył. - Za chwilę mój woźnica zabierze kuferek.
 - Będę musiała znaleźć jakieś miejsce do spania, monsieur.
 - Wiem. Myślę jednak, że na razie zostawmy tę sprawę w rękach losu.

Una wyglądała na zakłopotaną, a Dubucheron, nie czyniąc żadnych dodatkowych wyjaśnień, zszedł ze schodów.

Nie zamierzał pozwolić, by zrobiła cokolwiek, co wydałoby się dziwne lub karygodne, przynajmniej do czasu,

kiedy zobaczy ją księżę. Najłatwiejszą rzeczą byłoby zabranie jej do własnego apartamentu. Mieszkał luksusowo na spokojnej ulicy blisko Opery i zatrudniał sporo służby.

Przebranie się w mieszkaniu obcego mężczyzny mogłoby nadszarpnąć reputację Uny, a Dubucheron zawsze na wszystko zwracał uwagę w swoich transakcjach. Zabrał ją więc do małej, ale porządnej galerii sztuki przy rue de la Paix, w której miał pięćdziesiąt procent udziałów.

Jego ojciec był mądrym człowiekiem. Kiedy Filip był małym chłopcem, powiedział mu, że większość ludzi ma bardzo ograniczone spojrzenie na świat i jeszcze bardziej ograniczony umysł.

- Nigdy nie wprawiaj klienta w zakłopotanie, mój synu. Zdecyduj, co ma kupić, ale spraw, aby uwierzył, że to jego własny wybór.

Właśnie ta zasada uczyniła z Filipa Dubucherona najpopularniejszego handlarza sztuki w Paryżu. W trakcie robienia interesów poznawał arystokrację z całej Europy i widział, że będąc w Paryżu interesowali się nie tylko sztuką. Miał klientelę wśród królów, egipskich potentatów, angielskich i niemieckich książąt, którzy przyjeżdżali do Paryża głównie dla rozrywki. Ponieważ dobrze im służył, zawsze się do niego zwracali, pewni, że zaspokoi ich wszelkie potrzeby.

O tej porze galeria sztuki była oczywiście zamknięta. Otworzył ją własnym kluczem i Una weszła do środka.

- Na końcu galerii mam biuro - oznajmił. - Przy nim jest mała umywalka. Znajdziesz tam mnóstwo luster, przy których możesz ułożyć sobie włosy.

Biuro było luksusowo umeblowane. Na podłodze leżał gruby dywan i stało trochę pretensjonalne biurko w stylu Ludwika XIV. Dubucheron wyciągnął z kieszeni kamizelki złoty zegarek.

- Jest kilka minut po siódmej - powiedział. - Przyjadę po ciebie dokładnie za dziesięć ósma. Przygotuj się i spakuj kuferek.

- Będę na pewno gotowa - odparła z uśmiechem.

- Chciałbym, żebyś tego wieczora wyglądała jak najlepiej. Chyba rozumiesz, że to wielki zaszczyt być zaproszonym na kolację do księcia. Nie chciałbym, aby się rozczarował córką swojego ulubionego malarza.

- Oczywiście - przytaknęła. - Księżę musi być miłym człowiekiem, skoro kupił dwa obrazy taty.

- Tak, to bardzo miły człowiek - powtórzył Dubucheron.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek i wyszedł. Wtedy właśnie uświadomiła sobie, jak niespodziewanie i niezwykle potoczyły się jej losy.

- Dziewczęta nigdy mi nie uwierzą kiedy im o tym powiem - szepnęła do siebie.

Jednak uświadomiła sobie, że spotkanie z nimi jest raczej mało prawdopodobne. Rodzice większości jej szkolnych koleżanek byli bardzo wymagający przy doborze towarzystwa dla swych dzieci. Artystów, nawet najbardziej utalentowanych, nie akceptowano, dlatego istniały nikłe szanse, by po skończeniu szkoły spotykała się chociaż z jedną z nich.

Przyjęła to spokojnie, nawet nie było jej przykro.

„Przynajmniej mama jest zadowolona - myślała zmieniając suknię - że księżę jest Anglikiem”.

Matka wiele razy mówiła o Anglii i o Anglikach. Pod każdym względem ceniła ich więcej niż Francuzów. Opowiadała o polowaniach w czasie zimy, o pływaniu łodzią i grze w tenisa latem, o balach, na których damy mieniły się od klejnotów, a mężczyźni nosili orderzy, gdyż obecna była rodzina królewska. Opisała Unie, jak wygląda pałac Buckingham, gdzie dygnęła przed samą królową Wiktoria.

Wszystko to brzmiało tak zachwycająco, że Una często śniła o Anglii.

- Jeśli się szybko ubiorę, będę miała czas na obejrzenie obrazów - powiedziała do siebie.

Ale ubieranie potrwało dłużej, niż się spodziewała. Przede wszystkim musiała usunąć fałdy na swej sukni, która jej zdaniem, nie była wystarczająco elegancka na kolację z księciem.

Wszystkie swoje ubrania kupiła we Florencji. Jej najlepsza suknia, biała z odrobiną tasiemki wokół szyi i rękawami trzy czwarte długości, pięknie podkreślała jej wąziutką talię i delikatną wypukłość piersi. Ponieważ obawiała się, że monsieur Dubucheron skrytykuje jej strój, dołożyła szczególnych starań, by ułożyć sobie włosy. Toaleta zabrała jej wiele czasu i kiedy spakowała swój kuferek, drzwi do biura otworzyły się i pojawił się Dubucheron.

- Czy jesteś gotowa?

Wiedziała, że mierzy ją wzrokiem od stóp do głów. Czuliła się zażenowana tymi oględzinami i niepewnie czekała, co powie.

- Wyglądasz czarująco! - uśmiechnął się. - Chodźmy, nie możemy się spóźnić.

Doszedłszy do powozu zdała sobie sprawę, że wewnątrz jest ktoś jeszcze. Usiadła na małym siedzeniu tyłem do koni.

- Yvette, poznaj pannę Unę Thoreau - odezwał się Dubucheron - Panno Thoreau to mademoiselle Yvette Joyant.

- O co w tym wszystkim chodzi, Filipie? - odezwał się zmysłowy głos z głębi powozu.

- Przecież mówiłem, że z panną Thoreau będzie nas czworo. Potem może się rozdzielimy... ale nie jestem pewien.

- A ja tak! - odparł głęboki aksamitny głos.

Pojazd ruszył i w świetle migających lamp udało się jej rzucić przelotne spojrzenie na siedzącą obok kobietę.

Spowita była strusimi piórami w szkarłatnym kolorze, twarz miała szczupłą, cienki prosty nos, ciemne i mocno wymalowane oczy. Kapelusz, z którego spadało jeszcze więcej purpurowych piór, założony był na ukos odważnie, a zarazem prowokująco. W świetle mijanej lampy Una widziała ją wyraźnie. Zapach ciężkich perfum zdawał się przenikać cały powóz swym egzotycznym aromatem. Dubucheron obserwował obie kobiety z uśmiechem.

Dom księcia był dobrze oświetlony. Przed wejściem leżał czerwony dywan, a obok niego w przypudrowanych perukach i atlasowych bryczesach stało sześciu lokajów.

- Twój książę ma przynajmniej klasę! - zauważyła kobieta w piórach falujących wokół niej jak języki ognia.

„Nie uważa mnie za osobę, z którą warto rozmawiać, to pewne” - pomyślała Una. Dubucheron odczytał jej myśli.

- Wszystko w porządku, nie denerwuj się. Yvette Joyant nie lubi towarzystwa kobiet.

- Być może wolałaby, żebym nie przyszła - wyszeptała.

- Zaprosił cię książę, a więc jesteś takim samym gościem jak i ona.

Rozmawiając szli korytarzem udekorowanym wielkimi wazonami pełnymi kwiatów, których zapach bardziej przypadł jej do gustu niż perfumy Yvette.

- Wasza książęca mość oto mademoiselle Yvette Joyant, mademoiselle Una Thoreau i monsieur Filip Dubucheron - zaanonsował gości lokaj.

Tyle było do oglądania, że przez chwilę trudno jej było na czymkolwiek skupić wzrok. Wreszcie w kalejdoskopie mebli, kwiatów, obrazów, luster i porcelany zauważyła mężczyznę.

„Wygląda dokładnie jak prawdziwy książę powinien wyglądać i w dodatku Anglik” - pomyślała z zapartym tchem.

Był wysoki, przystojny, wyglądał imponująco w swoim wieczorowym stroju. Choć trudno jej było to wytłumaczyć,

ogarnęła ją ogromna nieśmiałość. Kiedy przeniósł swój wzrok z Yvette na nią, czuła, jak opuszcza ją pewność siebie.

- Zawsze patrz w oczy ludziom, z którymi się witasz. Nieśmiałość to prawie samolubstwo. Myślisz o sobie, a nie o osobie, z którą rozmawiasz - mówiła jej często matka.

Zawsze starała się stosować do tych słów, ale podając rękę księciu spuściła wzrok.

- Miło mi panią poznać - powiedział. - Jestem szczęśliwym posiadaczem dwóch obrazów pani ojca. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje z powodu jego śmierci.

- Dzięk...uję - wyszeptała.

Zawstydzona swoją nieśmiałością zmusiła się do spojrzenia prosto w jego oczy. Wydało jej się, że mierzy ją wzrokiem podobnie jak Dubucheron. Na jego ustach pojawił się kpiący grymas, który trudno było nazwać uśmiechem. Kiedy przyniesiono szampana, Yvette Joyant szeptała aksamitnym półgłosem coś, co wyraźnie miało dotrzeć tylko do uszu księcia. Una przysunęła się do Dubucheronu.

- Czy myśli pan, że obraz taty będzie powieszony w tym pokoju?

- Raczej nie - odparł. - Książę na pewno zabierze go do Anglii.

- Czy pyta pani o obrazy swego ojca? - włączył się nagle do ich rozmowy książę.

- Zastanawiałam się, czy wasza książęca mość powiesi ten ostatni w tym pokoju...

- W gruncie rzeczy uważam, że raczej nie pasowałyby do ogólnego wystroju - wyjaśnił. - Interesuje się pani malarstwem? Może sama pani maluje?

- Chciałabym, ale nie posiadam talentu ojca.

Moje próby skopiowania jego obrazów uznał za bardzo amatorskie.

- Wszelkie próby rywalizacji z własnymi rodzicami są na ogół nieudane. Ojciec próbował zrobić ze mnie zawołanego krykieciarza. W rezultacie krykiet to gra, której najbardziej nie znoszę, co jest nie podobne do Anglika.

- Ale patronuje pan drużynie jeździeckiej - wtrącił Dubucheron. - Czytałem o waszych sukcesach w gazetach. Jakie są prognozy na ten rok?

- Chciałbym wygrać Gold Cup w Ascot - odparł księżę - lecz pięćdziesięciu innych właścicieli pragnie tego samego.

- Zapominacie o mnie! - oświadczyła Yvette. - Jeśli chcecie znać moje zdanie... uważam, że mężczyźni są bardziej interesujący niż konie.

Podniosła swoją rękę w czarnej rękawiczce i dotknęła ramienia księcia.

- Monsieur lubisz sport, nieprawdaż...? - spytała. - Mogę ci pokazać coś bardzo oryginalnego, tres amusant, ale tylko dla koneserów.

Posłała przy tym Unie lekceważące spojrzenie.

- La jeune filie nasłuchuje, co chcę ci powiedzieć, monsieur. Nie mogę o tym mówić przy dzieciach!

Una poczuła, jak ze złości burzy się w niej krew, i odwróciła się. Dubucheron miał rację, mówiąc, że mademoiselle Yvette nie lubi kobiet. Czyżby zamierzała szydzić z niej przez cały wieczór?

„Dlaczego mam się przejmować tym, co mówi o mnie ta Francuzka... ? - zdenerwowała się Una - i tak już jej więcej nie zobaczę”.

Podniosła głowę z nieświadomą dumą, która nie pozwoliła jej dać się zastraszyć.

- Tutaj jest wspaniale. Wszędzie takie śliczne rzeczy - zwróciła się do Dubucheron. - Czy to pan zaopatrzył ten dom w te wszystkie obrazy?

- Niestety nie. Sądzę, że książę większość z nich odziedziczył. Ten dom zakupił ponad pięćdziesiąt lat temu jego dziadek.

- Z pewnością ma jeszcze wcześniejszą historię. Mama opowiadała mi o innym domu na tej ulicy, który należał do księżnej Pauliny Borghese i który zakupił książę Wellington dla brytyjskiej ambasady.

- To prawda - odrzekł książę przysłuchując się rozmowie.
- Ambasada mieści się dwa domy dalej. Mój dom jest jednak większy i bardziej wystawny.

- A czy ma równie ciekawą historię? - zapytała.

Książę miał właśnie odpowiedzieć, kiedy przerwała mu Yvette.

- Zaraz opowiem ci historię, od której pękiesz ze śmiechu - powiedziała. - Jest to opowieść o kobiecie i mężczyźnie... Gdybyśmy tak ponaciągali fakty, równie dobrze mogłaby być historią o mnie i o tobie.

W jej głosie było coś pieszczotliwego i intymnego, ale zanim książę cokolwiek odpowiedział, zapowiedziano kolację.

Rozdział 3

Podczas kolacji Yvette Joyant zdominowała rozmowę z księciem, dając do zrozumienia Unie i Dubucheronowi, że są najwyraźniej niepotrzebni.

Księżę słuchał jej z cynicznym uśmiechem na ustach. Una była przerażona, wydawało jej się, że ogląda jakąś sztukę teatralną. Zastanawiała się, czy księżę zawsze tak się zachowuje, czy wyjątkowo tego wieczoru. Być może to małe czteroosobowe przyjęcie było dla niego czymś niezwykłym, gdyż przyzwyczajony jest do tłumu ludzi.

Jadalnia była równie wspaniała jak i salon. Na ścianach wisiały cenne obrazy, tym razem pochodzące z późniejszego okresu we francuskiej sztuce. Złota taca, którą postawiono na stole, była dziełem słynnego francuskiego rzemieślnika. Wszystko wyglądało tak niezwykle, że wprost zmuszała się do kosztowania dań, które niewątpliwie były arcydziełami sztuki kulinarnej. Pamiętała, że jej ojciec zawsze delectował się dobrą kuchnią.

- Jedną z niewielu korzyści mieszkania we Francji jest wspaniałe jedzenie. To nie tylko radość dla podniebienia, ale i dla oczu - powtarzał często.

- Ja natomiast, Juliuszu, oddałabym wszystkie te smakołyki za kawałek pieczonej wołowiny i trochę puddingu - odpowiadała ze śmiechem matka.

Una nauczyła się gotować ulubione potrawy ojca od starej kobiety, która pracowała u nich w domu bardziej dla przyjemności niż dla pieniędzy. Madame Reynard miała jeszcze za życia swego męża restaurację w Paryżu. Często opowiadała o wielkich osobistościach, stałych bywalcach, którzy podziwiali wyjątkowo dobrą kuchnię jej męża. Kiedy wróciła na stare lata na wieś, czas bardzo jej się dłużył. Dlatego chętnie pomagała przy sprzątnięciu domu, ale przede wszystkim świetnie gotowała. Una została jej uczennicą.

Kosztując teraz łososia nadziewanego ostrygami i truflami pomyślała, że gdyby ojciec żył, potrafiłaby coś takiego dla niego przyrzadzić.

- Oprócz malarstwa doceniam jeszcze dobrą kuchnię, panno Thoreau - powiedział książę, jakby odgadując jej myśli.

- Jak tu nie przyznać się do łakomstwa, kiedy jedzenie jest takie pyszne! - odparła z uśmiechem.

- Czy dla pani to coś nowego?

- Mieszkałam we Włoszech, wasza książęca mość, a włoska kuchnia nie dorównuje francuskiej.

- Całkiem się z panią zgadzam - odparł książę.

- Ale Włosi są cudownymi kochankami! - wtrąciła Yvette. - Anglicy też, jeśli się postarają...

Mówiła to w sposób bardzo prowokujący, a jej wpatrzone w księcia oczy obiecywały nieziemskie przyjemności. Książę oczywiście dobrze wiedział, co miała na myśli.

„Dubucheron miał rację, mówiąc o różnicy pomiędzy tymi dwiema kobietami - pomyślał. - Na pewno wszystko bardzo dokładnie zaplanował”.

Książę nie wierzył ani przez chwilę, że Una przyjechała do Paryża nieoczekiwanie, jak twierdził Dubucheron. Z pewnością znał ją od dłuższego czasu i trzymał specjalnie na tę okazję.

„Nie ufam mu - pomyślał - ale wieczór zapowiada się bardzo zabawnie. Jutro powiem Beaumotowi, że naprawdę stałem na rozstaju dróg”.

Yvette była rzeczywiście oryginalna na tle innych kobiet z półświatka, których w Paryżu nie brakowało. Jak większość Anglików, książę przyjechał do Paryża bawić się, a zabawa nieodłącznie oznaczała kurtyzany. Wiedział, że Yvette wycisnęłaby z niego każdy możliwy grosz, ale to, co by mu ofiarowała w zamian, byłoby tego warte. Doceniał jej umiejętność kreowania wokół siebie atmosfery, na którą

mężczyzna nie mógł pozostać obojętny. Każde jej słowo było dwuznaczne, każde spojrzenie tak przemyślane, że wzbudzało emocje i przyspieszało krew w żyłach.

Znał wiele kobiet pokroju Yvette; czy te z pałacu Buckingham, czy z Moulin - Rouge - wszystkie były takie same, dlatego nie był zaskoczony jej zachowaniem.

Mimo wszystko l'amour, o której Francuzi wiedzieli najwięcej, mogła być zawsze ekscytująca, zawsze niezwykła, nawet jeśli wydawało się, że dla takich znawców jak książę nie stanowi niespodzianki.

Z drugiej strony zdziwiłby się, gdyby Una okazała się tak niewinna, na jaką wyglądała. Dubucheron na pewno ją specjalnie przygotował do tej roli. Trudno było nie zauważyć jej skromnej dziewczęcej sukni, wąskiej talii i ciasnego gorsetu uwypuklającego jej małe piersi. Sprawiała wrażenie młodej dziewczyny, która nie ma pojęcia, że jej życiowa misja to kuszenie mężczyzn.

Dubucheron był bardzo sprytnym człowiekiem. Spodziewał się, że jego znudzony zepsuciem Paryża klient doceni czystość i niewinność młodej dziewczyny.

- Czy ona jest w istocie taka, na jaką wygląda? - zastanawiał się książę. Sądząc po jej stroju i zachowaniu, może być tylko dobrze wyćwiczoną teatralną wersją tych zalet. Pomyślał, że Dubucheron już raz go oszukał, i że on nie da się nabrać po raz drugi.

Podczas kiedy Yvette roztaczała swoje wdzięki, Una zdawała się roztaczać aurę czystości. Księżciu podobała się i jedna, i druga, zaczął więc dobrze się bawić i zapominał o nudzie i Rose Caversham. Bawiła go nawet rozmowa z Dubucheronem. Zauważył, że handlarz był typem człowieka, którego wykreował sam Paryż, nigdzie indziej nie spotkałby podobnego. Według księcia Dubucheron nie tylko węszył, gdzie można zarobić, ale był kimś, dla kogo życie to barwne

przedstawienie, które wzbogaca zarówno jego sakiewkę, jak i umysł.

Książę od dawna był dumny ze swej umiejętności oceniania ludzi, lecz kiedy wniknął w charaktery swoich przyjaciół, zwłaszcza kobiet, które twierdziły, że go kochają, stawał się coraz bardziej cyniczny. „Że też nawet najbliżsi potrafią być tacy małostkowi i zachłanni” - myślał, często oskarżając się o przesadny krytycyzm i zbyt wielkie wymagania w stosunku do ludzi. Dobrze wiedział, co miał na myśli jego majordomus, który zasiał w nim niepokój, czy życie, które wybrał, szybko go nie znudzi.

Ale dziś wieczór - myślał pod koniec kolacji - mam przed sobą dwie tak różne kobiety. Czy są jakieś zmysłowe otchłanie, których jeszcze nie dane było mi poznać?

Ze znaczących spojrzeń Dubucheron wywnioskował, że musi podjąć decyzję, z którą z kobiet chce spędzić dalszą część wieczoru.

- Skoro jest to mój pierwszy wieczór w Paryżu - powiedział rozbawiony pijąc kawę - powinienem odwiedzić znajome miejsca i zobaczyć, czy się w nich nic nie zmieniło.

- A w szczególności które? - spytał Dubucheron.

- Oczywiście Moulin - Rouge.

- Moulin - Rouge?! - wykrzyknęła zdegustowana Yvette.

- Pokażę ci przedstawienie, jakiego dotąd nie widziałeś... - Zmrużyła tajemniczo swe oczy. - Pójdziemy tylko we dwoje i wtedy sam ocenisz...

- Nie możesz oczekiwać, bym porzucił moich gości. Wszyscy w czwórkę odwiedzimy Moulin - Rouge - oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Yvette wzruszyła ramionami, w jej oczach pojawiła się iskierka złości, a usta zacisnęły się złowieszczo. Dowiedziawszy się bowiem, że jest zaproszona na kolację do

księcia Wolstantona, zaplanowała, że pod koniec wieczoru zostanie jego kochanką.

W ten sposób wreszcie spłaci rosnące długi. Jak każda bowiem demi - mondaine wiedziała, że mężczyźni potrafią być hojni, jeśli nie doznają zawodu.

Paryskie kurtyzany uważane były za najdroższe i najbardziej zmysłowe na świecie. Napoleon III wydał fortunę na swoje kochanki, w jego ślady poszedł jego syn, jak zresztą każdy mężczyzna odwiedzający Paryż w poszukiwaniu rozrywki. I choć teraz cieszyły się nieco mniejszym powodzeniem, Yvette wiedziała, że jest warta każdej sumy, jaką na nią wydano. Wyraźnie przeszkadzało jej teraz towarzystwo dziewczyny. Dubucheron również nie był jej do szczęścia potrzebny. Słyszając propozycję księcia oczy Uny błysnęły z podniecenia. Zawsze pragnęła pójść do Moulin - Rouge, choć wiedziała, że już sam pomysł zaszokowałby jej matkę. Dubucheron natomiast zachodził w głowę, o co tak naprawdę księciu chodzi. Wiedział jedno: Moulin - Rouge nie jest odpowiednim miejscem dla Uny. Kabaret cieszył się wielką popularnością wśród dżentelmenów z wyższych sfer - był to największy rynek prostytucji w Europie. Wprawdzie dziewczęta były równie drogie jak te z Pól Elizejskich, ale występy atrakcyjnych kobiet i plakaty Toulouse Lautreca czyniły go modniejszym z roku na rok.

- Pojedziemy razem - oznajmił książę. - Na tylnym siedzeniu mogą usiąść trzy osoby, jeśli nie są zbyt otyłe - co mówiąc zmierzył wzrokiem giętką sylwetkę Yvette i dziewczęcą figurę Uny, po czym usadowił się pomiędzy nimi. Dubucheron usiadł naprzeciwko.

Podczas podróży z Faubourg St Honore na Montmartre Yvette szeptała księciu słowa, których na szczęście Una nie słyszała. Wyglądając przez okno podziwiała rozświetlone

bulwary, tłum spacerujących ludzi i wszystko, co widziała, budziło w niej entuzjazm.

„To najbardziej ekscytujący wieczór w moim życiu” - myślała. Na moment zapomniała o czekających ją jutro kłopotach i cieszyła się każdą chwilą. Podczas gdy Yvette usiłowała jak najbliżej przysunąć się do księcia, Una wtuliła się w kąć, by być jak najdalej. Czuła jednak jego bliskość i ogarnęły ją dziwne emocje, których nie umiała sobie wytłumaczyć.

- „To dlatego, że jest Anglikiem - powtarzała sobie - tak bardzo różni się od mężczyzn, których do tej pory znałam”. Przypominał jej ojca z czasów, kiedy była mała i kiedy kochała dźwięk jego głosu i sposób, w jaki brał ją w ramiona.

Jej zdaniem książę posiadał wszystkie przymioty angielskiego dżentelmena. Zastanawiała się, czy podoba mu się, że mademoiselle Joyant go dotyka, i czy czasem nie czuje się zażenowany jej swobodnym zachowaniem.

To bardzo miło, że zaprosił na kolację córkę malarza, którego ceniał. Chciała porozmawiać z nim o obrazach, ale trudno było poruszyć jakiś poważny temat w obecności mademoiselle Joyant.

„Ciekawe, czy go jeszcze kiedyś zobaczę?” - pomyślała tęsknie.

Moulin - Rouge był o wiele większy, niż się spodziewała. Dubucheron załatwił najlepszy stolik po stronie parkietu do tańca. Una poznała, że orkiestra grała jedną z romantycznych melodii Offenbacha, choć brzmiała ona zupełnie inaczej, kiedy przebijała się przez gwar głosów i donośne śmiechy.

Ledwie usiedli, rozległo się grzmienie bębnow i La Goulue, nowa gwiazda Moulin - Rouge, wyszła na parkiet.

- Ma tylko dwadzieścia lat - szepnął księciu Dubucheron.

Piana falującej koronki z czarnej kosztownej bielizny tryskała spod szerokich warstw białej spódnicy, kiedy

tancerka wskazywała nogą żyrandol. I ta piękna noga, połyskująca jedwabiem pończochy i przyozdobiona nad kolanem podwiązką z diamentów, podniecała widzów.

Una nie wyobrażała sobie tak zmysłowego, burzliwego i prowokującego tańca i kiedy tłum krzychał: „Wyżej, La Goulue! Wyżej!”, nie mogła nawet klaskać z zauroczenia.

Modny kankan, pełen erotycznych podtekstów, stał się już tańcem rytualnym. Miał w sobie tyle nieopisanej radości i precyzji wykonania, że skończył się ogólną wrzawą widowni.

Una siedziała prosto na krześle nie spuszczać oczu ze sceny. Przed nią stał nietknięty kieliszek szampana. Nie miała pojęcia, że książę ją obserwuje nawet wtedy, kiedy Yvette szepcze mu do ucha. Kiedy przedstawienie się skończyło i tłum ruszył na parkiet, zwróciła się do Dubucherona:

- Czy są tu dziś jacyś malarze?

- Toulouse - Lautrec przychodzi dwa lub trzy razy w tygodniu. Jeśli go zobaczę, pokażę ci go. Być może będzie również Degas, przyjaciel twego ojca i karykaturzysta Metivet.

- Co pani myśli o Moulin - Rouge, czy jest tu pani po raz pierwszy? - spytał książę.

- Trudno to ująć w słowa - wyznała szczerze - ale rozumiem, dlaczego przyciąga artystów.

- Dlaczego?

- Te kobiety... artystki mają taki szczególny wygląd. Tak różnią się od innych ludzi - a ponieważ książę zrobił sceptyczną minę dodała. - Przynajmniej od tych, których spotykałam...

- Z jakiej części Włoch pani przyjechała?

Nie zdążyła mu odpowiedzieć, gdyż Yvette domagała się jego względów i znów zaczęła mu coś szeptać do ucha. W tym czasie mężczyzna w wykwintnym stroju wieczorowym i cylindrze na bakier podszedł do ich stolika.

- Witaj, Blaze - powiedział do księcia. - Myślałem, że jesteś w Londynie.

- Jeszcze wczoraj tam byłem.

Nowo przybyły, nie słuchając jego odpowiedzi, podniósł do ust rękę Yvette.

- Mam szczęście, że cię tu zastałem - powiedział do niej. - Miałem zamiar jutro cię odwiedzić.

- Mam nadzieję, że to zrobisz - odparła Yvette.

- Zatańczysz ze mną? Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

- Czy masz coś przeciwko, mon cher? - spytała księcia. - A może sam wolisz ze mną zatańczyć?

- Popatrzę na was.

- Pokażemy im, Henri, jak dwa ciała mogą zlać się w jedno! - oznajmiła wpadając w jego ramiona i rzuciła księciu prowokacyjne spojrzenie.

- Myślę, Dubucheron - powiedział księżę, że panna Thoreau powinna się wcześniej położyć. Czy mam odwieźć ją do domu?

- To byłby wielki zaszczyt, lecz prawdę mówiąc, na razie panna Thoreau nie ma domu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przyjechała dopiero dzisiaj. Zamierzałem znaleźć jej jakiś odpowiedni nocleg po kolacji. Jej kuferek jest w domu waszej księżęcej mości, miałem zamiar odebrać go później.

- W moim domu? - spytał księżę z uśmiechem na ustach. - Czy uważa pan, że to odpowiednie miejsce dla panny Thoreau?

- Jak najbardziej. Nic lepszego nie przyszłoby mi do głowy.

- Bardzo dobrze. Proszę przekazać moje przeprosiny mademoiselle Yvette i zapewnić ją, że moją wdzięczność za jej towarzystwo wyrażę w odpowiedni sposób.

Książę zwrócił się do Uny i ze zdziwieniem stwierdził, że wcale nie przysłuchuje się rozmowie, tylko patrzy na salę.

- To na pewno monsieur Toulouse - Lautrec! - wykrzyknęła radośnie. - Wygląda dokładnie tak, jak opisywał mi tata. Szkicuje jakąś tancerkę.

- Tak, to Lautrec - odparł. - Nic dziwnego, że rodzina wstydzi się jego wyglądu.

Karzeł na dwóch cienkich nogach w meloniku na nieproporcjonalnie wielkiej głowie, z gęstą czarną brodą i grubym nosem, na którym spoczywały stalowe binokle, wyglądał groteskowo.

- Przecież nic na to nie może poradzić - współczuła mu Una.

- Zabieram panią do domu - oznajmił książę. Kiedy wstawali od stolika, zdała sobie sprawę, że Dubucheron ma zamiar zostać.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją. - Książę się tobą zaopiekuje.

- Gdzie będę spała...?

- Książę ci powie. Proszę iść, jego wysokość nie lubi czekać.

Kiedy wreszcie jechali powozem, Una odezwała się swym ciepłym głosem:

- Dziękuję za wspaniały wieczór.

- Podobał się pani?

- Kolacja była przepyszna, a Moulin - Rouge zawsze pragnęłam zobaczyć.

- Dlaczego?

- Tata ciągle opowiadał o tym niezwykłym kabarecie. Nawet dziewczęta w szkole o nim słyszały.

- W szkole?

- Byłam przez trzy lata w szkole we Florencji. Książę myślał przez chwilę.

- Czy Dubucheron kazał to powiedzieć?
- Dlaczego miałyby kazać mi coś powiedzieć?

Una spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Myślałam, że być może sam powiedział waszej książęcej mości, iż przyjechałam do Paryża do taty i zastałam go w grobie.

Trudno było nie zauważyć drżenia w jej głosie.

- Proszę mi opowiedzieć wszystko od początku...

Opowiedziała mu całą historię w kilku słowach i od razu zrobił się podejrzliwy.

„To jest zbyt proste - myślał. - Młoda dziewczyna przyjeżdża do Paryża i dowiaduje się, że jej ojciec nie żyje, a Dubucheron, znany stręczyciel, zabiera ją tego samego wieczoru na kolację z księciem. Nawet nie kazał jej włożyć kapelusza, kiedy każda kobieta w Paryżu chodziła w kapeluszu i to ozdobionym egzotycznymi piórami lub pękami sztucznych kwiatów. Bardzo sprytnie z jego strony”.

Przyznał, choć sam dobrze nie wiedział dlaczego, że Yvette wcale go nie zaintrygowała; a nawet wydała mu się odpychająca, wręcz wulgarna. Natomiast Una nie podjęła żadnej próby, aby przyciągnąć jego uwagę, dlatego może nie mógł oderwać od niej oczu.

„Mimo wszystko to niezła historyjka - powiedział do siebie. - Szkoda by było zbyt szybko pokazać, że nie dałem się nabrać. Jeśli chce nadal uczestniczyć w tej grze, nie będę jej przeszkadzał”.

- Wiadomość o śmierci ojca musiała być dla pani wielkim szokiem.

- Trudno mi było w to uwierzyć - odpowiedziała. - Ale chyba zmienił się w ostatnich latach.

- Dlaczego tak pani sądzi?
- Kiedyś nie zniosłby takiego bałaganu w pracowni...
- Zatem nie była pani zmartwiona?

- Byłam nieszczęśliwa, ale poczułam, że straciłam go dawno temu.

Znów powiedział sobie, że tym wszystkim rządzi przypadek. Przez przypadek przyjechała do Paryża w tym samym dniu co on, przez przypadek spotkała Dubucheroną, przez przypadek kupił obraz jej ojca, a on wyjątkowo nie miał żadnych planów na wieczór. Pewnie Dubucheron trzymał tę dziewczynę w zanadrzu dla jakiegoś naiwniaka, który uznają za zupełnie inną od zwykłej dziewczki. Która dziewczyna prosto z klasztoru pojechałaby z nim powozem do domu?

Książę tylko w Paryżu gościł w domu swoje kochanki. Dał do zrozumienia zarówno swojemu majordomusowi, jak i przyjaciołom, że tutaj ma prawo robić, co mu się podoba, i nie życzy sobie żadnych uwag. Dubucheron z pewnością zdawał sobie z tego sprawę, jednak sposób, w jaki zasugerował, że Una powinna z nim pojechać, wydał się księciu nieco dziwny.

- Jestem zaszczycony, że zgodziła się pani u mnie zamieszkać - powiedział - choć mogłaby pani bardziej nalegać, abyśmy się najpierw lepiej poznali.

Una wyglądała przez okno.

- Zamieszkać u... pana? - zapytała odwracając się, ale było zbyt ciemno, żeby przyjrzeć się wyrazowi jej oczu. - Mam zamieszkać w domu... waszej książęcej mości?

- Jeśliby pani nie miała nic temu naprzeciw...

- Ach! To byłoby cudownie! Nigdy nie myślałam, że będę pańskim gościem.

Tego było już za wiele.

- Być może pan Dubucheron o tym myślał, a pani na pewno zdawała sobie z tego sprawę.

- Kiedy mnie spotkał w pracowni, był dla mnie bardzo miły. Powiedział, że kiedy sprzeda obraz taty, zaraz do mnie wróci... i wspólnie pomyślimy, co mam dalej robić... Widzi

pan, przyjechałam prawie bez pieniędzy. ., Jakie to szczęście, że monsieur Dubucheron sprzedał ten obraz.

- Rzeczywiście - przytaknął książę. - Pewnie obiecał, że pieniądze przyniesie jutro.

- Tak właśnie powiedział... żebym mogła zapłacić za nocleg.

- A gdzie się pani przebrała?

- Monsieur Dubucheron zabrał mnie do swojej galerii sztuki - roześmiała się. - Przyznaję, niezwykła to była przebieralnia, ale mogłam się tam umyć i rozpakować mój kuferek w jego biurze.

Książę nie wierzył ani jednemu słowu. Był pewien, że cała historia jest zmyślona od początku do końca. Przyznał Unie i Dubucheronowi wysokie oceny za sklecenie tej opowiadki egzaltowanej uczennicy. Kto słyszał o przebieraniu się w galerii obrazów! Chciał wybuchnąć głośnym śmiechem, ale doszedł do wniosku, że zbyt szybkie zdemaskowanie tej dowcipnej historyjki, popsułoby całą zabawę. Wreszcie przyjechali do jego domu.

- Zostawiono tu przed kolacją kuferek, nieprawdaż? - zwrócił się do jednego ze służących.

- Tak, wasza książęca mość. Pewien dżentelmen oznajmił, że odbierze go dziś wieczorem.

- Mademoiselle Thoreau zostaje u mnie - oznajmił. - Proszę zanieść jej kuferek do różanego pokoju i rozpakować.

- Jak sobie wasza wysokość życzy.

- Przejdźmy do salonu - zwrócił się do Uny i zanim czujny lokaj się zorientował, sam otworzył przed nią drzwi.

W salonie pachniały kwiaty i paliło się kilka świec. Było tu tak pięknie, że oczy Uny rozbłysły z podziwu. Książę podszedł do dużej tacy w kącie salonu, na której stała otwarta butelka szampana i srebrne naczynie z kanapkami.

- Jest pani głodna? - spytał.

- Nie, dziękuję. Kolacja była tak pyszna, że chciałabym podziękować pańskiemu kucharzowi.

- Może mu pani podziękować jutro, na pewno będzie zachwycony - powiedział podchodząc do Uny i wręczając jej kieliszek szampana.

- Dziękuję, nie będę dziś więcej piła. Nie jestem przyzwyczajona do picia alkoholu... Piłam wodę.

Kąciki ust księcia rozchyliły się w uśmiechu.

- We Francji szampan jest wodą.

- Tak też mi mówiono... ale mógłby mi za mocno uderzyć do głowy.

- A kiedyś uderzył? Roześmiała się.

- Nigdy, byłabym okropnie zawstydzona, gdybym nagle poczuła się zamroczona.

- Zawstydzona? - zdziwił się książę.

- Alkohol degraduje i wyniszcza - powiedziała zupełnie innym tonem.

Przypomniały jej się puste butelki i bałagan w pracowni ojca. Książę odgadł jej myśli. Od Dubucheronona wiedział, że ojciec dziewczyny zmarł z przepicia.

- Skoro zostaje pani u mnie, co zamierza pani robić?

Dobrze wiedział, jaką odpowiedź otrzymałby od Yvette. Rozmyślanie, jak długo jeszcze ta dziewczyna zamierza zachować pozory niewinności, ogromnie go bawiło.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem i usiadła nerwowo na brzegu krzesła. Przez moment nie odzywała się...

- Teraz rozumiem... - odparła po chwili. - Pewnie uważa mnie pan za bardzo naiwną.

- Dlaczego?

- Powiedziałam Dubucheronowi, że muszę znaleźć jakąś pracę i jakoś nie przyszło mi do głowy, że mogę pracować u pana.

- A co mogłaby pani dla mnie robić?

- Jeszcze nie wiem. Czekaając w pracowni ojca postanowiłam uczyć dzieci angielskiego, ale... - tu przerwała na chwilę.

- Ale co? - ponaglał ją książę.

- Pomyślałam, że wyglądam zbyt młodo.

- A jaką pracę u mnie pani sobie wyobraża.

- Mogę pisać pańskie listy. Naprawdę dobrze piszę!

- Mam wspaniałego majordomusa, który się tym zajmuje, a w razie konieczności zatrudnia sekretarkę.

- Cóż... - westchnęła. - Jest tyle rzeczy, których nie potrafię... Ale i tak ich pan nie potrzebuje.

- Na przykład?

- Trochę gram na pianinie, maluję, ale po amatorsku. Tata powiedział, że nigdy nie zostanę prawdziwą artystką.

- No to przejdźmy do rzeczy, które potrafi pani robić.

- Prawdę mówiąc - odparła bolesnym głosem - niczego tak naprawdę nie potrafię, choć mama wydała tyle na moje wykształcenie.

- A patrzyła pani kiedyś w lustro?

- Oczywiście! Zawsze, kiedy się czeszę - odparła zdziwiona.

- Niech pani spojrzy i powie mi, co widzi. Przyglądając się swemu odbiciu, pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała się w tak pięknym otoczeniu. Malowany sufit, obrazy na ścianach, jedwabne zasłony - zawsze pragnęła mieszkać w takim pokoju.

- No...? - zapytał książę. Posłała mu uśmiech.

- Przepraszam... Nie patrzyłam na siebie. Patrzyłam na ten cudowny pokój. Przypominał mi jeden z obrazów Bouchera. Poczułam się jak sama madame de Pompadour... Pamięta pan ten obraz?

- Być może właśnie mogłaby się pani zabawić w madame du Pompadour - zasugerował.

- Ale w niej kochał się sam król, a dzisiaj Francja nie ma króla. Zresztą będąc nią nie byłabym na tyle bystra, aby zauważyć, że ta porcelana powinna być różowa jak te wazy na kominku.

Podeszła i delikatnie je dotknęła. Patrząc na nią, książę zdecydował, że tej gracji ruchów musiała nauczyć się w jakiejś szkole teatralnej. Niemożliwe żeby była wrodzona.

- Mam uczucie, że zbyt długo już pana przetrzymuję - westchnęła. - Sama czuję się zmęczona, ale wszystko jest takie śliczne, że chciałabym dotykać pańskich skarbów i dowiedzieć się, jaka jest ich historia.

- A więc jednak chciałaby pani pójść do łóżka?

- Przecież jutro też tu będą - odparła zachwycona. - Dziękuję za nocleg. Jutro na pewno wymyślę, co mogłabym dla pana zrobić.

Książę powoli wstał z krzesła, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Una dodała:

- Mama na pewno wie, że mieszkam w domu prawdziwego Anglika. Jest szczęśliwa, bo... choć tata nie żyje, tu z panem jestem bezpieczna.

Książę spojrzał badawczo w jej oczy i znów poczuła się onieśmielona.

- Proszę pójść do łóżka, oboje jesteśmy zmęczeni. Porozmawiamy jutro - powiedział z nutą zdziwienia w głosie.

Rozdział 4

Unę obudziła pokojówka wnosząc śniadanie na tacy, którą postawiła obok łóżka. Rozsunęła zasłony wpuszczając do pokoju powódź słonecznego blasku. Przez chwilę Una nie wiedziała, gdzie się znajduje, lecz później z drzeniem serca przypomniała sobie, że jest w Paryżu w mieszkaniu księcia Wolstantona. Usiadła patrząc z zachwytem na tacę ze srebrnym dzbankiem do kawy i gorącymi rogalikami.

- Która godzina? - zapytała,
- Dix heures, m'mselle!
- Dziesiąta! Jak mogłam tak długo spać!
- M'mselle była zmęczona - odparła pokojówka. - Dziś mamy piękny dzień i jest bardzo ciepło.
- Co sobie pomyśli książę, że nie zeszłam na śniadanie.
- Jego wysokość pojechał na przejażdżkę, nie ma więc pośpiechu.

Una odetchnęła z ulgą. Wczoraj wieczorem rzeczywiście była śmiertelnie zmęczona. Przyczyniła się do tego nie tylko długa podróż, ale i emocje z całego dnia: wiadomość o śmierci ojca, kolacja z księciem, wieczór w Moulin - Rouge. Dopiero przed pójściem spać uświadomiła sobie, że nie powinna odwiedzać miejsca rozrywki tak szybko po śmierci ojca.

„Cóż innego mogłam zrobić...?” - pomyślała. - Przecież byłoby to uciążliwe zarówno dla księcia, jak i dla monsieur Dubucheron, gdyby cały czas opłakiwała ojca i nie chciała nikogo widzieć. Przecież nie ma gdzie się podziać. Musiała zastosować się do poleceń Dubucheron, nie miała innego wyjścia.

Była na tyle spostrzegawcza, aby zauważyć, że pod maską jego grzeczności i przymilności kryje się bezwzględny i gotowy zawsze postawić na swoim człowiek. Sama sobie dziwiła się, że jest taka podejrzliwa, ale ciekawe, co by się stało z pieniędzmi za obrazy, gdyby nie pojawiła się na czas w

pracowni. „Muszę robić, co mi każe ” - pomyślała trwożliwie i zastanowiła się, na jak długo starczą jej pieniądze za obraz.

Na szczęście księżę pozwolił jej zostać w swoim domu. Czy jakiś człowiek był kiedyś bardziej hojny dla dziewczyny, którą spotkał po raz pierwszy i z którą nie ma nic wspólnego...? „Na pewno znajdzie mi jeszcze jakąś pracę...” - myślała.

Zjadła śniadanie i ubrała się w swoją najlżejszą sukienkę. Schodząc na dół, zastanawiała się, czy księżę już wrócił ze swej konnej przejażdżki i czy zastanie go w salonie.

Salon był pusty, a ponieważ mogła w spokoju przyglądać się wszystkiemu, zaczęła oglądać obrazy i dzieła sztuki.

Jadąc wierzchem, księżę uchylił kapelusza kilku znajomym, ale nie zatrzymał się na krótkie pogawędki, jak to zazwyczaj czynił. Nie przyjechał do Paryża, aby prowadzić życie towarzyskie. Chciał również przemyśleć pewne sprawy.

Obudził się wcześniej w dobrym nastroju i pomyślał, że czeka go ciekawy dzień. Zastanawiał się, czy Una była rozczarowana, że nie przyszedł w nocy do jej pokoju. Jedząc śniadanie, myślał, czy naprawdę jest szczerą. Nie chciał być łatwownym głupcem i dać się oszukać Dubucheronowi po raz drugi.

Beaumont wszedł do pokoju, podczas gdy księżę kończył swoją kawę.

- Słyszałem, że wasza księżęca mość ma gościa.
- Pewnie jesteś zdziwiony...
- Czy ten ktoś bywał u nas przedtem? Wiedział, że księżę nie lubi, kiedy się go wypytuje, ale gdyby coś się stało, cały kłopot spadłby na jego barki.
- Nigdy wcześniej nie spotkałeś tej młodej damy. Sam poznałem ją dopiero wczoraj.

Beaumont z trudnością powstrzymał się od komentarza: „Ten dopiero szybko działa”.

Będąc w Paryżu księżę zawsze jeździł konno, a ponieważ opuścił Anglię w wielkim pośpiechu, nie dostarczono mu jeszcze jego koni. Beaumont poprosił jednego z przyjaciół księcia o pożyczenie wierzchowca na przynajmniej dwa dni. Hrabia de Clerc był uradowany, że może zrobić księciu przysługę, i wkrótce przed domem stanął dostojny czarny ogier.

Wczesnym rankiem księżę wskoczył na siodło i pogalopował.

„Nie ma nikogo, kto by lepiej wyglądał na koniu - pomyślał Beaumont patrząc za nim. - Założę się, że po powrocie będzie miał jeszcze lepszy humor”.

Wchodząc do domu zastanawiał się, kim jest kobieta, którą księżę przywiózł wczoraj w nocy. Przypuszczał, że to jakaś znana aktorka lub tancerka, kobiety z niższych sfer nie interesowały jego pana. Dziwił się jednak, że po tym, co wczoraj mu powiedział, księżę sprowadził do domu kobietę. Wrócił do biura, poprosił kamerdynera, aby go zawiadomił, jak tylko mademoiselle zejdzie na dół, i zabrał się do załatwiania wszystkich spraw związanych z prowadzeniem domu. Godzinę później poinformowano go, że mademoiselle jest w salonie. Idąc do niej, zastanawiał się, kto uwiódł księcia tym razem.

Paryż bardzo się zmienił w ostatnich latach. Zaczęto często używać określenia Fin de siecle, początkowo w stosunku do trendu w sztuce i literaturze, ale również, kiedy mówiono o takich zjawiskach jak pesymizm czy dekadencja. Fin de siecle wykreował nowy model kobiecego piękna, który pojawił się w niezliczonych powieściach i obrazach. Była to kombinacja femme fatale'owych, Orientu i Madonny. Ucieleśniła ją w swoich kreacjach aktorskich Sara Bernhardt. Zapanowała moda na Salome, Ofelie, Safony i sfinksy. Beaumont zastanawiał się, która z tych fin de siecle'owych

twarzy przypadła do gustu księciu. Wkroczywszy do salonu wprost umierał z ciekawości, żeby ujrzeć kobietę, która tak szybko zajęła miejsce pięknej i nieokrzęsanej lady Rose.

Słońce rozjaśniało cały salon i przez moment wydawało mu się, że nikogo w nim nie ma. Wreszcie, w dalekim kącie zobaczył wpatrzoną w obraz Fragonarda nieruchomą postać.

Odgłos zamykanych drzwi odwrócił uwagę stojącej i Beaumont ujrzął kogoś, kto przez chwilę wydał mu się jeszcze dzieckiem. Podszedłszy bliżej, stwierdził, że jest ubrana jak uczennica i może mieć trochę więcej niż szesnaście lat. Spodziewał się, że gość księcia będzie niezwykły, ale nie pod tym względem.

Ował twarzy, wielkie oczy, mały nosek i perfekcyjnie zarysowane usta przypominały bardziej kobiety z obrazów Bouchera niż dojrzałe boginie malowane przez Fragonarda.

- Dzień dobry - powiedział po francusku. - Jestem zarządcą tego domu.

Una dygnęła i wyciągnęła do niego rękę.

- Nazywam się Una Thoreau - odparła po angielsku.

- Jest pani córką Juliusza Thoreau, tego malarza?

- Tak.

- Zatem miło mi panią poznać.

- Czy znał pan mego ojca?

- Nie, ale podobają mi się jego obrazy, szczególnie ten, który książkę ostatnio kupił.

- Widziałam go dopiero wczoraj, bo właśnie wczoraj przyjechałam do Paryża, żeby zamieszkać z ojcem, ale po przyjeździe dowiedziałam się, że... nie żyje...

- Nie żyje?! - wykrzyknął Beaumont, zastanawiając się, dlaczego książkę mu o tym nie powiedział.

- Podobno był to wypadek.

- Tak mi przykro - wymamrotał Beaumont.

Wydała mu się troszeczkę zagubiona. Zastanawiał się, dlaczego księżę przywiódł ją do swego domu, ale stwierdził, że to nie jego sprawa.

- Mam nadzieję, że niczego pani nie brakuje. Gdyby jednak czegoś pani potrzebowała, jestem do usług.

- Bardzo dziękuję. Na razie upajam się tym pięknym wnętrzem i obrazami.

- Jego wysokość powinien wrócić za pół godziny - powiedział Beaumont patrząc na zegar.

Wyszedł zastanawiając się, dlaczego księżę wcześniej nie powiedział mu, kim jest jego gość. Musi przecież być jakiś rozsądny powód, dla którego zaprosił córkę Thoreau. Obnoszenie się po Paryżu z kimś, kim nie był zainteresowany, to nie w jego stylu. Być może zaprosił ją z powodu śmierci ojca.

„Jedno muszę mu przyznać - powiedział sobie. - Zawsze udaje mu się mnie zaskoczyć”.

Szarżując na swoim rumaku w najmniej uczęszczanej części Lasku Bulońskiego księżę pomyślał, że przyjazd do Paryża był mądrą decyzją.

- Tutaj nikt nie musi martwić się o reputację - powiedział do siebie.

Był znudzony na śmierć ciągłym gderaniem Rose, że powinien się z nią wreszcie ożenić i zrobić z niej uczciwą kobietę. Nic i nikt nie zrobi z niej uczciwej kobiety, stwierdził ironicznie. Gdyby nawet została jego żoną, na pewno nie byłaby mu wierna. Zdecydował raz na zawsze, że romans z lady Rose należy do przeszłości. To prawda, że przez długi okres podniecała go i bawiła. Nawet wytworzyła się pomiędzy nimi fizyczna bliskość, która dawała mu dużo przyjemności. Nigdy jednak jej nie kochał i nie szanował, a te właśnie uczucia pragnął żywić do swej przyszłej żony.

"Jeśli będę taki wymagający - pomyślał cynicznie - zostanę kawalerem do końca moich dni".

Wreszcie wrócił myślą do Uny.

„Ciekawe, czy za dnia wygląda tak ślicznie jak nocą... ” - zastanawiał się. Podczas kolacji, w złotym świetle lamp łatwo było można ulec złudzeniom. Przekonał się już nieraz, jak wyglądają kobiety zaraz po przebudzeniu.

„Pewnie jest zupełnie przeciętna” - powiedział sobie wracając do domu. I miał wielką ochotę zobaczyć ją znów w roli niewinnej dziewczicy, którą odgrywała z niemałym talentem.

„Dubucheron nieźle ja wyćwiczył” - pomyślał po raz setny. Swym wyglądem i zachowaniem zwróciła na siebie jego uwagę w sposób jak najbardziej naturalny. Nagle pomyślał, że jednak popełnili błąd.

Każda niewinna dziewczyna po wieczorze w Moulin - Rouge przeżyłaby szok. Przyglądał się Unie podczas tańca La Goulue: oglądała przedstawienie z fascynacją dziecka patrzącego na pantomimę. Ale oczywiście La Goulue nie była osobą, którą można było zobaczyć w pantomimie dla dzieci.

Osobiście widział tancerkę i dużo się o niej dowiedział podczas ostatniego pobytu w Paryżu. Naprawdę nazywała się Louise Weber, a jej przydomek, La Goulue („żarłok”), wziął się z jej niezaspokojonego apetytu na jedzenie i cielesne przyjemności.

Była prawdziwym dzieckiem ulicy. Swoją karierę rozpoczęła włócząc się od kawiarni do kawiarni i od kabaretu do kabaretu. Od razu podbiła ich bywalców swa zmysłowością i wulgarnością. Zanim pojawiła się w Moulin - Rouge, tańczyła w Elysees Montmartre podniecając widownię koronkowymi majtkami i czarnymi pończochami.

Podczas gdy mężczyźni przepadali za lubieżnymi ruchami jej giętkich nóg i gwałtownymi porywami hulek, każda

przyzwoita kobieta byłaby zdegustowana, gdyby ujrzała La Goulue w tańcu.

„I tu ich mam! - pomyślał dumnie książę. - Dubucheron i jego mała protegowana byli sprytni, ale nie na tyle, żebym dał się oszukać”. Dojeżdżając do domu postanowił, że nie zdemaskuje Uny tak od razu. Wzbudziła jego ciekawość, a poza tym była córką Thoreau. „A może wcale nie jest jego córką?” - zastanawiał się.

Dubucheron nie mógł zrobić nic sprytniejszego, niż dostarczyć mu kochankę spokrewnioną z artystą, którego podziwiał.

- Niech to diabli! - wykrzyknął książę. - Sprawdzę wszystkie informacje o Thoreau.

Czuł się, jakby mu zadano jedną z chińskich łamigłówek, których większość ludzi nie potrafi rozwiązać. Podniecała go myśl, że zaskoczy wszystkich i znajdzie do niej klucz.

Zsiadając z konia pragnął znów zobaczyć Unę, ale nie dlatego, że wydała mu się interesująca jako kobieta. To było wyzwanie. Wyteżał umysł, aby przechytryć tych, którzy chcieli zrobić z niego głupca. W pierwszej chwili księciu wydawało się, że Uny nie ma w salonie, ale nagle podbiegła do niego i kiedy blask słoneczny padł na jej włosy, pomyślał, że wygląda jeszcze śliczniej niż wczoraj.

- Tak się cieszę, że pan wrócił! Znalazłam coś pasjonującego!

- Co to takiego? - zapytał zaskoczony takim powitaniem.

Pokazała mu jakiś szkic na starym, pożółkłym papierze.

- Był pomiędzy innymi rysunkami - wyznała nie mogąc ukryć podniecenia. - Gdyby pan wiedział, co to jest, zaraz kazałby pan oprawić, jestem pewna!

- A co to jest? - spytał widząc jakieś boginie otoczone kupidynami.

- To jest szkic Tiepola do jednego z jego słynniejszych obrazów... Proszę spojrzeć, to jego styl, sposób, w jaki siedzi Afrodyta, w jaki trzyma ręce, i te kupidyny - identyczne jak na innych obrazach.

Tyle było w niej entuzjazmu i podniecenia, że książe posłał jej pierwszy uśmiech, który nie był ani drwiący, ani cyniczny. Pomyślał przy tym, że jej skóra ma odcień perły, którą dopiero co wyjęto z muszelki, a jej włosy - delikatną złotą barwę jak włosy dzieci. Zresztą już od dawna nie widział, żeby ktoś był tak podekscytowany swoim odkryciem.

- Muszę najpierw sprawdzić, czy ma pani rację - powiedział głośno.

- Czułabym się upokorzona, gdybym jej nie miała.

- A czy to ważne?

- Byłoby mi głupio, gdybym wzbudziła pańskie nadzieje.

- Moje nadzieje? - uśmiechnął się. - To pani znalezisko i jeśli ma pani rację, chwała należy do pani.

- Pewnie to nieładnie, że zajrzałam do szuflady, ale ta komoda była taka piękna...

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Czy naprawdę tak pan myśli?

- Zawsze mówię, co myślę.

- Chciałabym również coś zaproponować. - Książe uniósł brwi, a ona dalej mówiła, trochę nerwowo. - Kiedy znalazłam ten szkic, pomyślałam, że mogłabym skatalogować... wszystkie rzeczy, które ma pan w tym cudownym domu... Na pewno jest tu mnóstwo schowanych i zapomnianych skarbów. Mogłabym je odszukać.

- To niezły pomysł - przyznał, choć wiedział, że Beaumont zrobił spis wszystkiego, co jest w domu.

W każdym jego domu w Anglii i w willach, które posiadał za granicą, takie inwentarze robione były rokrocznie, choćby dlatego, że wymagały tego firmy ubezpieczeniowe.

- Będzie więc pani kustoszem moich zbiorów. Oczywiście musimy ustalić wysokość pani wynagrodzenia. Czekam na propozycje.

Pomyślał, że to będzie dla niej dobry powód, żeby zażądać ogromnej sumy albo czegoś z drogiej biżuterii.

Una zdawała się głęboko zastanawiać.

- To raczej trudne pytanie, bo nie mieszkałam we Francji, ale wiem, ile zarabiali nauczyciele przyjeżdżający do klasztoru.

- A ile?

- W przeliczeniu to będzie sześćset franków rocznie. - Książę wyglądał na zdziwionego, dlatego szybko dodała: - Oczywiście nie myślałam o tak dużej sumie. Trzysta lub czterysta franków to zupełnie mi wystarczy.

Tyle wynosiła mniej więcej pensja opiekunki dla dzieci. Żaden dobry kustosz nie podjąłby się pracy za takie wynagrodzenie.

- Uzgodnimy tę sprawę później. Niech pani zacznie katalogować wszystko, co zdaniem pani ma jakąś wartość.

- To znaczy każdą rzecz w tym domu! Szkoda, że tata nie widział pańskich obrazów.

- Myśli pani, żeby mu się spodobały?

- Wprawdzie malował w inny sposób - odparła - ale kiedyś powiedział: sztuka jest jak kobiety: każdy mężczyzna znajdzie coś dla siebie.

- Czy ojciec kiedykolwiek panią malował?

- Kiedy byłam dziewczynką, ale nigdy nie był zadowolony z tych portretów, wolał malować pejzaże. - Obawiając się, że zbyt dużo mówi o sobie, zapytała: - Czy udała się panu przejażdżka?

- Bardzo, Lasek Buloński jest taki cudowny. Musimy tam pojechać moim powozem i zjeść lunch pod gołym niebem.

- Naprawdę? - Una była wniebowzięta.

- Tak, to zaproszenie.
- Czy możemy pojechać teraz, zaraz?
- Musi mi pani dać trochę czasu na przebranie -
uśmiechnął się książę. - Pewnie będzie chciała pani włożyć
kapelusz.

- Oczywiście, zaraz się przygotuję.

To mówiąc wybiegła z pokoju, a książę popatrzył na nią z
zakłopotaniem. Czy to możliwe, żeby tak dobrze grała swoją
rolę? Usługujący mu w ubieraniu lokaj spostrzegł, że książę
jest w o wiele lepszym nastroju niż wczoraj. Zauważył to
również wychodzący ze swego biura Beaumont.

- Potrzebuje pan bryczki, jak mniemam?

- Tak, wybieram się na lunch.

- Ma pan jakieś plany na wieczór?

- Na razie żadnych. Jeśli coś mi przyjdzie do głowy, dam
ci znać.

Najwidoczniej książę nie miał ochoty mówić zbyt wiele,
zresztą Beaumont wcale nie zamierzał o nic pytać. Dalszej
rozmowy oszczędziła im zbiegając ze schodów Una.

Na głowie miała kapelusz tego samego kształtu co
wczoraj, tylko że ten był słomkowy. Tak naprawdę miała
tylko dwa kapelusze; ten z niebieskimi wstążkami, w którym
przyjechała, i słomkowy ozdobiony kawałkiem różowego
szyfonu.

W sztuczkowych spodniach, dobrze skrojonym płaszczu i
eleganckiej kamizelce książę wyglądał tak wspaniale, że
poczuła się zażenowana własnym wyglądem. Nie miała
specjalnie nic innego do ubrania i miała nadzieję, że książę nie
zwróci na to uwagi. Jednak zauważył każdy szczegół i znów
pomyślał, jak dobrze ubrała się do swojej roli: skromna
bawełniana sukienka i pasujący do niej kapelusz.

- Mam nadzieję, że nie kazałam panu długo czekać -
powiedziała zdyszana.

- Nie ma pośpiechu, ale skoro dzień jest taki piękny, szkoda go marnować.

- Jaki cudowny, a pogoda! - wykrzyknęła. - I jadę do Lasku Bulońskiego.

Beaumontowi wydała się ucieleśnieniem młodości i radości, ale wiedział, że każda kobieta, którą księżę zaprosiłby na spacer, podobnie by reagowała.

- Czy była pani kiedyś w Lasku Bulońskim? - zapytał księżę, kiedy jechali w eleganckim wolancie.

- Raz przyjechałam tu z mamą żeby zobaczyć akwarium, i potem zimą, na ślizgawce. Widziałam jeżdżące na łyżwach i na sankach piękne kobiety i towarzyszących im dżentelmenów. Drzewa otulone były szronem, a ziemia białą pierzynką śniegu. Wszystko to układało się w przepiękny obraz. Żałowałam, że nie jestem malarką...

- Powinna pani wyrażać swoje uczucia w prozie.

- Myśli pan, że powinnam napisać książkę?

- Czemu nie.

- To byłoby wspaniałe zajęcie i być może zarobiłabym trochę pieniędzy.

Kąciki ust księcia wykrzywiły się. „No, teraz wreszcie powie, czego chce” - pomyślał, ale ku jego zdziwieniu Una zmieniła temat rozmowy wskazując z podnieceniem na balony stojące pod kasztanami, gotowe do startu. Dopiero kiedy jedli lunch w zatłoczonej restauracji, znowu poddał ją próbie. Ze zdziwieniem spostrzegł, że prawie wcale nie zwraca na niego uwagi, tylko z zainteresowaniem patrzy na wszystko, co się wkoło niej dzieje.

Jedzenie było wspaniałe. Una starała się zapamiętać smak dań, żeby umieć je potem przygotować. Nagle uświadomiła sobie, że nie ma dla kogo. Gdy - by zaproponowała przygotowanie posiłku dla księcia, jego kucharz byłby na

pewno oburzony. Mógłby nawet zrezygnować z pracy, a tego księżę na pewno by nie zniósł.

- Chcę panią o coś zapytać - powiedział księżę do Uny, która nie odrywała wzroku od białych łabędzi pływających majestatycznie po gładkiej tafli jeziora.

- O co chodzi?

- Co myślała pani ostatniej nocy, kiedy tańczyła La Goulue? Z pewnością jej taniec trochę panią zaskoczył?

Przez chwilę nie odpowiadała.

Miałem rację - powiedział do siebie. - Ani Dubucheron, ani ta dziewczyna tego się nie spodziewali. Zauważyłem, że nie była zszokowana i nawet nie udawała, że odwraca twarz.

Zastanawiał się, jak teraz spróbuje się z tego wytłumaczyć.

- Tata zawsze mi mówił - odezwała się - że w nagości nie ma nic złego, tylko ludzie zepsuci mogą doszukiwać się czegoś nieprzyzwoitego w obrazach Afrodyty lub posągu Wenus.

- Zgadzam się, ale chcę wiedzieć, co pani myślała o La Goulue?

- Na początku byłam trochę zażenowana sposobem, w jaki tańczyła. Później porównałam to do rysunków prehistorycznych ludzi. Dzisiaj wydają się nam prymitywne, a przecież namalowali je artyści dążący do pewnego ideału piękna, które udało się osiągnąć Michałowi Aniołowi i Botticellemu.

Księżę słuchał z wielką uwagą.

- Te wczesne malowidła w jaskiniach i katakumbach były owocem wysiłków ludzi, którzy przedstawiali to, co potrafili.

- Sugeruje pani, że taniec La Goulue był prymitywny, a jednocześnie najlepszy, na jaki ją stać.

- Być może źle to wszystko wyraziłam - odparła bezradnie. - Ale myślę, że pan również wolałby, tak jak ja

oglądać piękny balet np: Sylfidy. Tańcząca wczoraj kobieta dążyła do czegoś, czego nigdy nie osiągnie, ale wiedziała, że na tym właśnie polega doskonałość jej sztuki.

Książę był zdumiony, nigdy nie przypuszczał, że można dać taką interpretację wyuzdanego tańca La Goulue.

- Kto pani to powiedział? - spytał ostro. - Dubucheron?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Oczywiście że nie. Sama tak uważam. Czy to źle?

Wyglądała na zaniepokojoną. Bała się, że w oczach księcia zobaczy dezaprobatę.

- Nie, ale byłem szczerze zdziwiony, że nie była pani tym tańcem zgorzozona.

- Gdyby to było gorszące, czy wziąłby mnie pan ze sobą?

- Zdecydowałem się pójść do Moulin - Rouge, zanim panią spotkałem.

- Cieszę się, że tam byłem, ale już więcej nie pójdę.

- Dlaczego nie?

- Mama na pewno by tego nie pochwałała. Uważam, że jest to miejsce rozrywki dla panów.

- W Paryżu jest mnóstwo takich miejsc. Chyba nie chce pani powiedzieć, że nie pojedzie tam ze mną?

- Z przyjemnością... pojedę z panem wszędzie. Ale czy naprawdę podobał się panu taniec La Goulue?

- Dlaczego pani o to pyta?

- Ponieważ czuję, że podobają się panu rzeczy piękne. Ktoś kto mieszka mając na ścianach Fragonarda i Bouchera, musi dostrzegać różnicę pomiędzy nimi a plakatami w Moulin - Rouge.

- Widziała je pani?

- Tak, czekając na powóz.

- Wie pani, kto je namalował?

- Zapewne Toulouse - Lautrec. Ponieważ go widziałam, rozumiem, dlaczego potrafi malować tylko brzydotę.

- Czy myśli pani, że w swoim malarstwie człowiek potrafi wyrazić siebie?

Stanął jej przed oczyma niedokończony obraz z pracowni ojca, który przedstawiał ówczesny stan jego umysłu. Na samą myśl o tym wzdrygnęła się. Książę nie zrozumiał dziwnego wyrazu jej twarzy.

„Dręcę ją - pomyślał. - Jest niezwykle inteligentna jak na tak młodą kobietę”.

Później zdecydował, że za tym na pewno stoi Dubucheron. Byłby głupi, gdyby choć przez chwilę uwierzył, że dziewiętnastoletnia dziewczyna z własnej inicjatywy mogłaby prowadzić z nim tak poważną rozmowę. Zresztą żadnemu mężczyźnie nigdy by na tym nie zależało.

Większość z nich przyjeżdża do Paryża dla rozrywki i już dawno zażądałoby od niej cielesnych przyjemności. Wydawało się mu, że chińska łamigłówna, którą zamierzał rozwikłać, nie była taka łatwa, jak się spodziewał, i zdecydował się na zmianę taktyki.

- Co chciałaby pani robić dziś po południu?

- Czy moglibyśmy kontynuować przejażdżkę w pańskim wolancie. To takie ekscytujące: wspaniałe konie i Paryż, jakiego nigdy nie widziałam.

- Zapomniała pani o czymś najważniejszym.

- A co to takiego?

- Nie wspomniała pani o osobie, która będzie powozić...

- Ma pan na myśli siebie...?

- Czuję się trochę zaniedbywany. Roześmiała się.

- Cóż mam powiedzieć... że wasza książęca mość powozi lepiej niż ktokolwiek inny? Jest pan taki miły, czuję się, jakby to był wspaniały sen. Modlę się, żeby moje towarzystwo szybko się panu nie znudziło.

- Obawiałem się, że zapomniała pani o moim istnieniu...

- Jakżeby mogła! Boję się, że to wszystko jest zbyt piękne, że nagle obudzę się z powrotem w klasztorze...

- Mam wątpliwości co do tego klasztoru.

- Wątpliwości?

- Zawsze myślałem, że dziewczęta z klasztornych szkół są zbyt nieśmiałe, żeby cokolwiek po - wiedzieć, grube i ociężałe od tej zdrowej żywności którą je tam karmią.

- Byłam onieśmielona, kiedy po raz pierwszy pana zobaczyłam.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Raczej nie jestem nieśmiała. Może dlatego że nigdy nie spotykałam dystyngowanych ludzi... Ale to chyba nie to.

- A co? - nalegał.

- Wydawał się pan taki wytworny, ale było chyba coś jeszcze...

- Co takiego?

- Każdy człowiek wydziela pewne fluidy - wyjaśniła. - Potrafię od razu wyczuć, czy są przyjazne, czy nie... Ale czasami trudno je określić.

- A co pani sądzi o moich fluidach? - dopytywał się.

- Poczulałam, że są inne od wszystkich, które znam.

Spojrzała w jego oczy i dodała z przerażeniem:

- Pewnie pan myśli, że plotę bzdury. Dlaczego chce pan, żebym mówiła o sobie? Wolę rozmawiać o panu i o Paryżu.

- A co jest bardziej interesujące?

- Wiem, że to niegrzeczne, ale powiem: Paryż! Roześmiała się.

- Nie wiem, co mam o pani myśleć. Jest pani zbyt piękna, żeby była prawdziwa.

Zobaczył, że nie zrozumiała, a ponieważ nie chciał, aby odgadła jego myśli, powiedział:

- Chętnie pokażę pani Paryż. Prawdę mówiąc podoba mi się jazda tymi pożyczonymi końmi. Moje przyjadą dopiero jutro.

- Sprowadza pan konie do Paryża?

- Rzadko kiedy się bez nich obywam.

- Cudownie! Musi pan być bardzo bogaty. Bogactwo pod wieloma względami może być ekscytujące, ale przypuszczam, że to nie wystarcza.

- Co pani przez to rozumie?

- Zawsze wydawało mi się, że ludzie lubią stawiać sobie wyzwania. Chcą osiągać cele, być zwycięzcami, zdobywcami.

- A ja, zdaniem pani, co robię?

- Nie znam pana wystarczająco dobrze, aby odpowiedzieć na to pytanie, ale jest w panu tyle witalności i siły, że mógłby być pan Jazonem szukającym złotego runa, Herkulesem zmagającym się ze swoimi pracami, albo sir Galahadem w poszukiwaniu świętego Graala.

- Zdziwiał mnie pani. Mimo wszystko czuję się zaszczycony pani opinią o mnie. A teraz powinniśmy już iść.

Rozejrzała się wokół. Prawie wszyscy goście opuścili stoliki. Kiedy wyjechali z restauracji, odezwała się:

- Jeśli zechce mnie pan gdziekolwiek zabrać, czy mógłby mi pan powiedzieć, jak powinnam się zachować. Nie chciałabym popełnić błędu.

- Jak dotąd, nie popełniła pani żadnego.

- Nigdy nie bywałam w towarzystwie i oczywiście nigdy z mężczyzną takim jak pan. - A z jakimi mężczyznami?

- Nie znałam wielu... Był tata, ksiądz, który odprawiał msze i słuchał spowiedzi w klasztorze; doktor, Włoch, zawsze beształ mnie dla zabawy, bo nigdy nie byłam chora, i nauczyciel muzyki.

- Wiele słyszałem o nauczycielach muzyki. A ten jaki był?

- Bardzo stary. Kiedyś grał w znanej orkiestrze. Dziewczeta, które nie lubiły się uczyć, podpuszczały go, żeby opowiadał o dawnych czasach. Lekcja kończyła się, a my nie zagraliśmy nawet nutki.

- Czy pani też to robiła?

- Nie, bardzo lubię muzykę, choć nigdy nie będzie ze mnie dobra pianistka.

- I to wszyscy mężczyźni, jakich pani знаła?

- Obawiam się, że tak... nie licząc oczywiście pana i monsieur Dubucheron.

- I mam w to uwierzyć.

- Był jeszcze listonosz i klasztorni ogrodnicy. Puszczali oczka do starszych dziewcząt i zakonnice bardzo się gniewały.

- Jest zbyt piękna, żeby być prawdziwą - szepnął do siebie półgłosem. - Niedługo uwierzę w całą tę bajeczkę.

Przez chwilę powoził w milczeniu, ciągle zerkając w stronę Uny, czy czeka, żeby kontynuować rozmowę. Ale ona patrzyła z zachwytem na prawo i na lewo, nie przejmując się, że przestał ją bawić rozmową. Poczłł się bardzo dotknięty.

- Gdzie chciałyby pani zjeść kolację? Twarz Uny znów zwróciła się w jego stronę.

- Kolację... ? W restauracji... ? - spytała.

- Czemu nie, na pewno będzie pani zadowolona, a ja chciałbym się pochwalić, że mam do towarzystwa najpiękniejszą damę.

- Czy zaprosi pan mademoiselle Joyant?

- Będziemy sami. Zapadła chwila ciszy.

- Chętnie bym poszła, ale niestety nie będzie pan ze mnie dumny. Posiadam tylko jedną wieczorową suknię, którą miałam na sobie wczoraj.

Oczy księcia roziskrzyły się: wreszcie zaczyna mówić do rzeczy!

- Jeśli ma pani jakieś braki w garderobie, można bardzo łatwo temu zaradzić.

- Co ma pan na myśli?

- Musi pani po prostu wybrać suknie, które się pani podobają, a ja zapłacę rachunki - powiedział bez ogródek, gdyż dość miał już tego udawania.

Im szybciej przejdą do sedna sprawy, tym lepiej. Znów zapadła cisza, a ponieważ długo nie odpowiadała zapytał:

- O co chodzi?

- Czy pan powiedział, że kupi mi suknie?

- Nie jedną, ale tyle, ile pani zechce. Proszę się nie obawiać, nie zbankrutuję.

- Pan jest taki dobry i hojny, lecz nigdy nie mogłabym przyjąć w prezencie sukni. Minie trochę czasu, zanim zdołam sama za nie zapłacić.

Zastanawiał się, czy czasem nie wykrzyknąć: „Dość już tego udawania!", ale postanowił dalej pozwolić jej odgrywać tę głupią farsę. Może będzie bardziej usatysfakcjonowany, jeśli dziewczyna nie złoży broni zbyt szybko.

- Czemu nie? Nie rozumiem.

- Mama ciągle mi powtarzała, że damie nie wolno przyjmować prezentu od mężczyzny.

Pomyślał o tuzinach kobiet, które zachłannie brały wszystko, co im dawał. Zawsze zaczynało się od drobnego klejnotu, broszki, bransoletki, kolczyków, a kończyło się na sukniach, futrach i mnóstwie różnych rzeczy. Ani przez chwilę nie wierzył, że Una naprawdę nie chciała przyjąć jego propozycji. Pewnie czeka, żeby ją namawiał.

- Najrozsądniej będzie, jeśli poślę po jednego ze słynnych krawców z rue de la Paix i polecę, żeby specjalnie dla pani zaprojektował toalety podkreślające pani osobowość i urodę.

- Kiedy monsieur Dubucheron zapłaci mi za obraz, sama będę w stanie kupić sobie suknię.

To go rozbawiło.

- Bardzo niepraktyczny pomysł i raczej bardzo głupi.

- Głupi...?

- Pieniądze za obraz powinna pani zachować na czarną godzinę. A tymczasem proszę mi pozwolić sfinansować pani potrzeby.

- Przecież już próbowałam panu to wytłumaczyć. Mama mówiła: „Jeśli kobieta jest zaręczona, może przyjąć od swego narzeczonego wachlarz czy rękawiczki na Boże Narodzenie. Nie wypada przyjmować kosztownych prezentów”.

- Nie wypada? Dlaczego?

- Źle by o niej mówiono.

- Źle mówiono? Ciekawe, co by powiedziano na to, że mieszka pani w moim domu sama, bez opiekunki?

- Nie myślałam o tym. Może nie powinnam przyjąć zaproszenia, ale nie miałam dokąd pójść.

- Osobiście uważam, że postąpiła pani słusznie.

- Chce pan przez to powiedzieć, że skoro mieszkam w pańskim domu, mogę przyjąć od pana suknię?

- Nie tylko suknię, ale wszystko, czego pani potrzebuje.

Przez chwilę milczała.

- Chciałabym się nad tym zastanowić.

- Proszę się nie śpieszyć. Dziś wieczorem odwiedzimy jakieś mniej uczęszczane miejsce, żebym nie musiał się za panią wstydzić.

Dobrze wiedział, że tą małą uwagą złamał wszystkie zasady dobrego wychowania, ale już dość miał rozmowy na ten temat. Chciał ją ubrać, chciał, żeby wyglądała tak pięknie, jak tylko ona mogłaby wyglądać w paryskich strojach.

- Niech to diabli! - powiedział do siebie. - Najwyższy czas, żebym sam skierował tę farsę na właściwe tory.

Rozdział 5

Po jakimś czasie książę znów zagadnął Unę:

- Jaki jest pani ulubiony kamień? Najwyraźniej myślała o czymś innym, bo trochę ją to nagłe pytanie przestraszyło.

- Kamień?

- Mam na myśli klejnot. Wszystkie kobiety kochają klejnoty. Pani chyba nie jest wyjątkiem?

Zamyśliła się.

- Turkusy są bardzo piękne. Na Wschodzie uważa się, że przynoszą szczęście.

- Słyszałem o tym.

- Mama mówiła, że Tybetańczycy pracujący w kopalniach drogich kamieni zawsze noszą kawałek turkus, żeby chronić się przed złym urokiem. - Roześmiała się. - Ale pan pewnie nie obawia się, że ktoś rzuci na pana urok. W czasach średniowiecza bardzo się tego obawiano.

Zauważył, że znów odbiegła od tematu.

- Gdyby miała pani wybór, wolałaby pani zatem posiadać turkus?

- Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym miała choć jeden, ale urodziłam się w lipcu i mój kamień to rubin.

Uśmiechnął się. Wreszcie zaczyna okazywać swoje zainteresowanie klejnotami i na pewno wkrótce jednego zażąda.

- Jednak rubiny to złowieszcze kamienie. Być może najpiękniejsze są właśnie perły - dodała po chwili.

- Perły są bardzo kosztowne.

- Jak wszystkie klejnoty... dlatego raczej nie będę mieć żadnego. Mama mówiła, że najbardziej przeżywała sprzedaż swego diamentowego półksiężyca.

Książę wiedział, że półksiężyce i gwiazdy z diamentów cieszyły się dużą popularnością wśród Angielek, które najczęściej kupowały biżuterię w Paryżu. Jego matka nosiła

diadem wysadzany przez samego Oscara Massina. Una wyglądałaby w nim ślicznie.

Oscar Massin był mistrzem w swoim fachu. Robił wysadzane diamentami kwiaty, kłosy zboża i bukietiki konwalii. Jego konwalie były jakby specjalnie zaprojektowane dla Uny. Pomyślał, że kupi jej broszkę z diamentowymi konwaliami, a jeśli będzie chciała - perłowy naszyjnik, który podkreśli piękno jej skóry.

- Zatem wołałaby pani perły? - zapytał głośno.

- Wiem, co bym naprawdę chciała... bardziej od wszystkich klejnotów na świecie...

- Co?

- Konie takie jak te, które nas wiozą. Książę był zadziwiony. Znow nie udało mu się zatrzymać jej uwagi na tak kuszącym temacie.

- A gdzie by pani trzymała swojego konia? Roześmiała się.

- Raczej nie spodziewam się, że zaprosiłby go pan, jak mnie, do swego domu... a gdybym pozwoliła mu się paść w Lasku Bulońskim, miałabym spore kłopoty! Zawsze zazdrościłam czarownicom. Mają tyle rzeczy, które każdy by chciał mieć...

- Co na przykład?

- Czarodziejskie zwierciadło, które mówi, jaki jest naprawdę przeglądający się w nim człowiek.

- Podobno potrafi pani odczytać charaktery, ludzi bez takiego zwierciadła.

- Być może to zabrzmia trochę zarozumiale, ale czasem potrafię odczytać nie tylko naturę człowieka, lecz również, co się dzieje w jego życiu.

- Jest pani wróżką?

- Niezupełnie.

- A co powie pani o mnie? Przez chwilę wahała się.

- Być może... wolałby pan nie wiedzieć.
- Nie tylko chcę wiedzieć, wręcz nalegam.
- Cóż, podczas wczorajszej kolacji wydawało mi się, że pan jakby wszystko obserwował i nie brał w niej udziału. - Księżę milczał, a ona trochę przerażona ciągnęła dalej. - Może znów nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć, ale to było, jakby wszystko wokół pana było sceną, a pan publicznością.
- Nie zamierzam pani powiedzieć, czy to prawda. Chciałbym się dowiedzieć, co pani jeszcze zauważyła?
- „Z pewnością Dubucheron dał jej niezłą lekcję mojego charakteru” - pomyślał.
- Wdaje mi się, że pan próbuje podjąć jakąś ważną decyzję w swoim życiu... - to mówiąc odwróciła się.
- Czy mogłaby mi pani to wytłumaczyć?
- Dla mnie też jest to trochę niejasne. Być może w przyszłości będzie pan musiał podjąć taką decyzję... Czasami czuję rzeczy ponadczasowo.
- Ponadczasowo?
- Tata kiedyś powiedział, że jeśli jest się dostatecznie wysoko, pod samym niebem, można zobaczyć jednocześnie Cherbourg, Nowy Jork i statek na Atlantyku.
- Rozumiem - odparł. - Gdybyśmy byli bardzo wysoko, wszystko działałoby się dla nas w tej samej chwili.
- Dokładnie tak. Kiedy ciekawi mnie jakaś osoba, widzę jakieś sceny z jej przeszłości i nieraz potrafię przewidzieć, co ją czeka w przyszłości.
- A czy moja osoba panią interesuje?
- Oczywiście, jest pan bardzo skomplikowanym przypadkiem, ale chyba najbardziej ekscytującym, jaki oglądałam w moim magicznym zwierciadle.
- Uśmiechnęła się, a on odwzajemnił jej uśmiech.

- Sprawia pani, że się denerwuje... Co będzie jeśli się okaże, że jestem tylko smokiem w przebraniu? Co pani wtedy zrobi?

- Włożę moje niewidzialne buciki, które zanoszą mnie daleko, daleko od pana. Mogę nawet rzucić na pana zaklęcie!

Znów zupełnie odbiegli od tematu klejnotów. Wjechali w rue du Faubourg St. Honore i przejażdżka dobiegła końca. Zdecydował, że postawi Unę przed faktem dokonanym kupując jej jakiś prezent. Przykazał służącym, aby nie wyprzęgali koni.

- Jakiś pan czeka na waszą wysokość w holu - oznajmił kamerdyner.

Książę odgadł, że to na pewno Dubucheron z nowymi obrazami Thoreau. Zastanawiał się, czy obejrzeć je razem z Uną, ale zdecydował, że najpierw zobaczy je sam. Dziewczyna tymczasem pobiegła na górę. Idąc na spotkanie z Dubucheronem książę postanowił dowiedzieć się o niej czegoś więcej, nawet jeśli handlarz nie będzie zbyt rozmowny.

Była w połowie schodów, kiedy nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Przez moment stała niezdecydowana. Później szybko zbiegła na dół.

- Proszę sprowadzić dorożkę - zwróciła się do lokaja.

Wyglądał na zdziwionego, ale nie do niego należało podawanie w wątpliwość decyzji państwa. W kilka chwil sprowadził jednokonną dorożkę.

- Dokąd, m'mselle?

- Ulica de l'Abreuville nr 9, proszę.

Dopiero w czasie jazdy pomyślała, że powinna zostawić księciu wiadomość. Przyszło jej na myśl, że być może zostały w pracowni jakieś obrazy do sprzedania. Gdyby się jej udało znaleźć kupca, sprawi sobie strój wieczorowy, żeby nie musiał się za nią wstydić. Wiedziała, że odmawiając przyjęcia sukni

sprawiła mu przykrość, ale ciągle brzmiały jej w uszach słowa matki:

- Bieda nie jest niczym złym - mówiła. - Jest źle, kiedy ludzie udają innych niż są naprawdę.

Matka pewno uznałaby, że Una się poniża przyjmując od obcego mężczyzny prezenty.

„Muszę się nauczyć sama sobie radzić - pomyślała. - Jest przecież jakiś sposób na szybkie zarobienie pieniędzy. Gdyby udało mi się sprzedać choć jeden obraz, kupiłabym śliczną suknię, w której na pewno podobałabym się księciu”.

Tak bardzo chciała, aby zwrócił na nią uwagę, ale na myśl o Yvette i innych damach opuścił ją dobry nastrój. Czy kiedykolwiek będzie wyglądać tak elegancko jak one? Na takie suknie, jakie one noszą, z pewnością musiałyby pracować latami.

„Przynajmniej mam szczupłą talię” - pocieszała się patrząc w lustro. Taka była ówczesna moda: cienka talia nad szeroką rozłożystą spódnicą, w której kobieta wyglądała jak łabędź pływający po jeziorze.

„Nie było w restauracji przystojniejszego mężczyzny niż książę” - stwierdziła w duchu i pomyślała, że może postawiła przed sobą nieosiągalny cel usiłując upodobnić się do wielkich dam, ale postanowiła spróbować. - „Pomóż mi, mamo - szeptała. - Powiedz mi, co mam robić, żeby podobać się księciu!”

Nagle oczom jej ukazała się bazylika Sacre - Coeur i ogarnęło ją podniecenie, że znowu jest na Montmartrze. Koń bardzo wolno człapał pod górę. Mijała artystów w aksamitnych garniturach, którzy stali przy swoich sztalugach. Dom, w którym mieściła się pracownia jej ojca, wydawał jej się jeszcze bardziej zniszczony niż wczoraj.

- Proszę na mnie poczekać - zwróciła się do dorożkarza.

Wbiegła po brudnych schodach i weszła do pracowni. Ktoś musiał najwyraźniej trochę w niej posprzątać. Większość wcześniej porzucanych gratów leżała teraz na kupie przy ścianie.

- Skąd się tu wzięłaś? - odezwał się jakiś głos.

Podskoczyła z przerażenia. Zza sztalug wyłonił się nagle mężczyzna, który niewątpliwie był malarzem. Miał niebieską wymazaną farbą koszulę, szeroki, czarny krawat i długie rozczochrane włosy. W jednej ręce trzymał paletę, a w drugiej pędzel.

- Czy teraz pan przejął tę pracownię? - spytała.

- Wprowadziłem się dziś rano i zastałem cholerny bałagan!

- Nie miałam pojęcia, że należy już do kogoś innego. Chciałam zobaczyć, czy zostały tu jeszcze jakieś obrazy.

- Już je zabrano.

- Zabrano? - powtórzyła.

- Rano przyszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich był handlarzem dzieł sztuki.

- Monsieur Dubucheron?

- Być może. Nie interesował się mną, więc odplaciłem mu tym samym - powiedział ze złością i Una pomyślała, że Dubucheron z pewnością uznał, że jego obrazy nie nadają się na sprzedaż.

Spojrzała na kupę gratów w rogu zastanawiając się, czy choć jeden z nich ma jakąś wartość. On tymczasem przyglądał się jej z wielkim zainteresowaniem.

- Jesteś śliczna! Nieczęsto spotyka się na Montmartrze takie ślicznotki.

Uśmiechnęła się niedbale myśląc, że chyba nie warto grzebać w tym zakurzonej stosie.

- Czy kiedyś pozowałeś? - spytał.

Oczy Uny otworzyły się szeroko. Słyszała, że artyści potrzebują modelek, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby zarabiać w ten sposób.

- Czy modelkom się płaci?

- Już one o to dbają! Same sobie wybierają, komu chcą pozować, wielkie mi primadonny!

Mówił z taką złością, jakby miał wielkie kłopoty ze swoimi modelkami.

- A ile wynosi ich wynagrodzenie?

Wyraz jego oczu zmienił się. Patrzył teraz na nią w zupełnie inny sposób.

- Jeśli zechcesz mi pozować, zapłacę ci dwa razy tyle co płaciłem jednej dziewczce. Wydaje jej się, że zostawiła mnie dla kogoś lepszego ode mnie. Chyba nie zrobiłabyś mi takiego świństwa.

- Oczywiście, że nie - odparła. - Nie ukończył pan obrazu?

- Sama zobacz - zaproponował. Malował zupełnie inaczej niż jej ojciec.

- Czy jest pan impresjonistą?

- Tak, i jestem z tego dumny, choć gazety wypisują, że jesteśmy anarchistami, szaleńcami i poszukiwaczami przygód, którzy chcą zamydlić społeczeństwu oczy.

- Nazywają was jeszcze: wrogami czystości francuskiej sztuki.

- Piszą, co im przyjdzie do głowy, a to wszystko dlatego, że po prostu jesteśmy inni.

Przyznała mu rację. Nie ma przecież żadnej reguły na namalowanie drzewa, pola czy strumienia. Wpatrując się w stojący przed nią obraz uznała, że daleko mu jednak do dzieła sztuki.

Impresjoniści dawali swoim obrazom nowy rodzaj światła i koloru. Ten natomiast wydał jej się jakby rozmazany. Na

pierwszym planie dostrzegła niewyraźny zarys postaci kobiety.

- Nie przyjąłbym jej z powrotem, nawet gdyby mnie błagała! - oznajmił.

- Musiała bardzo pana rozzłościć.

- Takie już są kobiety.

- Nie wszystkie! Jednak rozumiem, że strata modelki bardzo utrudnia pracę.

Jeśli artysta zaczął malować obraz, zwykle pracował zapominając o czasie, zmęczeniu i głodzie. Próbował namalować swoją wizję, póki jeszcze widniała przed jego oczyma.

Rozejrzał się po pracowni.

- Wprawdzie nie jest tu przyjemnie, ale ubranie możesz zdjąć w sypialni na górze.

- Z...zzdjąć... ubranie? - wydusiła z siebie.

- Pośpiesz się. Wkrótce będzie ciemno.

- Czy nie mogłabym pozować tak jak teraz?

- Nie! - odparł krótko wpatrując się w obraz - Zrobię z ciebie wychodzącą z lasu nimfę.

- Ta...k... mi przykro, ale nie mogę dłużej tu zostać.

Odwrócił głowę od swego płótna. Zamiast gnie - wu pojawił się na jego twarzy wyraz, który ją zaniepokoił.

- Bawimy się w ciężką - do - zdobycia, co? - warknął. - A może przyszedłeś po coś innego?

- Przykro... mi, ale muszę już iść... Rzucił paletę i zrobił krok w jej kierunku.

- Chyba wiem, o co ci chodzi, ślicznotko! Obraz może poczekać.

Wyciągnął do niej rękę.

- Proszę odejść! - błagała cofając się.

- A, chcesz, żebym cię gonił... W porządku. Nie ma nic lepszego niż łączenie pracy z przyjemnością.

Ze sposobu, w jaki się odzywał, wywnioskowała, że grozi jej czymś strasznym. Przez chwilę stała zdrętwiała ze strachu. Wreszcie kiedy ją złapał, wyrwała się i krzycząc pobiegła w kierunku drzwi.

- I tak mi nie uciekniesz! - zawołał.

Nagle przez otwarte drzwi wszedł mężczyzna. Kiedy umierając ze strachu rzuciła się w jego kierunku, poznała, że to sam książę.

Zgodnie z oczekiwaniami księcia w holu z tuzinem obrazów czekał na niego Dubucheron. Denerwował go jego sztuczny uśmiech. „Pewnie się cieszy, że jego spisek przebiega zgodnie z planem” - pomyślał książę i nawet się z nim nie przywitał. Podszedł do obrazów i poukładał je na sofie, żeby móc lepiej im się przyjrzeć.

- To są wszystkie obrazy, Thoreau? - zapytał. - Tak, wasza wysokość. Większość z nich to tylko niedokładne szkice, ale wspaniale zwiastują jego późniejsze dzieła.

Dubucheron nie miał zamiaru mówić księciu o obrazie, nad którym Thoreau pracował przed śmiercią. Podobnie jak Una poznał, że był to tylko wytwór zamrozonego alkoholem umysłu. Księciu spodobał się tylko jeden obraz: niedokończony portret Uny jako dziecka. Teraz już wiedział, dlaczego jej ojciec nie był z niego zadowolony. Natychmiast zdał sobie sprawę, że jedno z jego podejrzeń nie miało podstaw: Una jest naprawdę córką Juliusza Thoreau.

- To nie jest imponująca kolekcja - oznajmił z zimnym dystansem.

Zawsze starał się go okazać ludziom, których nie lubił, by podkreślić swoją wyższość.

„Zachowuje się zupełnie inaczej niż wczorajszego wieczoru” - pomyślał Dubucheron.

To nie był ten sam wesoły kompan, który zabrał Unę z Moulin - Rouge, a jemu powierzył nieprzyjemne zadanie uspokojenia wściekłej Yvette.

- Niestety, to wszystko, co znalazłem w jego pracowni, wasza wysokość. Może jeszcze jakieś jego obrazy krążą po Montmartrze, ale potrzebuję czasu, żeby je odnaleźć - powiedział Dubucheron, a widząc, że księżę nie może oderwać wzroku od nie skończonego portretu Uny, dodał: - Być może panna Thoreau wie, czy jakieś płótna nie zostały schowane po śmierci matki. Jej ojciec sprzedał dom i osiadł na Montmartrze, kiedy dziewczyna była w szkole we Florencji.

- Założę się, że go od tej pory nie widziała - powiedział księżę. - Skąd mogłaby wiedzieć, nad czym pracował podczas jej nieobecności.

- To prawda - przyznał Dubucheron. - Ale zawsze możemy ją spytać.

- Spytać możemy. Mówiłeś, że poznałeś pannę Thoreau dopiero wczoraj, kiedy przyjechała do Paryża.

- Zgadza się - odrzekł Dubucheron, zastanawiając się, do czego księżę zmierza.

Zdawało mu się, że jest podejrzliwy, ale nie miał pojęcia dlaczego.

- Pojawился się w odpowiednim momencie! - ciągnął dalej księżę.

- Rzeczywiście, młoda dama miała szczęście. Wasza wysokość z pewnością zdaje sobie sprawę, że ktoś o jej urodzie narażony jest na mnóstwo niebezpieczeństw. Historie o młodych artystach, mam na myśli impresjonistów, nie są bezpodstawne. Ich morale i nadużywanie alkoholu przynoszą sztuce złą sławę, dlatego tak trudno znaleźć kupców na ich obrazy.

- Na pewno dajesz sobie radę - odparł zimno księżę.

- Może dlatego, że wielu ludzi ma do mnie zaufanie. I tu nasuwa się pytanie, czy w jakiś sposób mógłbym się przysłużyć waszej książęcej mości?

Książę obruszył się, jak gdyby Dubucheron mu się narzucał - zamilkł więc wiedząc z doświadczenia, że prędzej czy później każdy klient zadeklaruje, co chce, bez jego zachęty.

- Chciałbym, żeby panna Thoreau zobaczyła te obrazy - powiedział książę kontynuując rozmowę. - Ponieważ prawnie się jej należą, może je sobie zatrzymać.

- To zrozumiałe. Czy mam je tu zostawić i przyjść później?

- Nie, zaraz ją tu poproszę - powiedział książę.

Pomyślał przy tym, że dowie się czegoś więcej o niej i o tym, co ją łączy z Dubucheronem, jeśli zobaczy ich razem.

- Idź na górę i poproś pannę Thoreau! - zwrócił się do lokaja.

- M'mselle wyszła, monsieur.

- Wyszła? Masz na myśli tę młodą damę, z którą wróciłem przed chwilą?

- Tak, monsieur, wyszła kilka minut temu.

- To niemożliwe! Przecież udała się na górę.

- Ale wróciła i kazała Jacques'owi sprowadzić dorożkę.

- Który z was jest Jacques? - spytał stojących w holu lokajów.

- Ja, monsieur - odparł jeden z nich występując naprzód.

- To ty sprowadziłeś dorożkę dla mademoiselle?

- Tak, monsieur.

- Czy mówiła, dokąd chce jechać?

- Tak, monsieur, na Montmartre, na ulicę de l'Abreuville.

Przez moment książę stał bez ruchu, a potem wykrzyknął:

- Dawać mi mój kapelusz!

Wyszedł na dziedziniec, gdzie czekał na niego wolant. Wziął od stangreta lejce i wyjechał na ulicę. Dubucheron nie musiał mu mówić o niebezpieczeństwach, jakie czekają na Unę w Montmartrze, sam zdawał sobie z tego sprawę.

Fin de siecle zmienił mentalność Francuzów. Pod sprośną wesołością la belle epoque kryła się nieokiełzana rozpusta i zbrodnia. Nie chodziło tylko o artystów. Anarchiści pogardzali ogólnie przyjętymi konwenansami i zachowywali się prowokująco. Wielu z nich głosiło wybujały indywidualizm i pogrążyło się w zgubnym chaosie, co prowadziło do fizycznego i umysłowego samounicestwienia.

Dla tych alkoholików i degeneratów taka dziewczyna jak Una byłaby łatwą ofiarą. Również czarna magia zyskiwała coraz większe rzesze zwolenników. Kwitł handel białymi niewolnicami, którego ofiarami padały młode, ładne dziewczęta.

W Europie Paryż był znany jako centrum uprawiających czarną magię. Nie dawniej jak w zeszłym roku książę czytał książkę Huysmansa W zaświatach, o szeroko rozprzestrzenionym we Francji satanicznym kulcie i niebezpieczeństwach, jakie czyhają na młode dziewice.

Książę uważał, że książka Huysmansa była trochę przesadzona, ale teraz jadąc na poszukiwanie Uny miał przed oczyma okropieństwa, jakie tam opisano.

Huysmans twierdził, że istnieją dwie sekty satanistyczne: palladyści czczący Lucyfera - upadłego anioła, i sataniści, którzy odwrócili naukę Kościoła i okrzyknęli szatana Bogiem. Odprawiali msze nad nagim ciałem leżącej na ołtarzu dziewczicy. Nad nią stał odwrócony do góry nogami krucyfiks.

Były jeszcze inne niebezpieczeństwa mające źródło w deprawacji, o których na pewno nie miała pojęcia. Ostatnio jeden z przyjaciół dał mu do przeczytania manuskrypt książki Degenerescence pióra socjologa Maxa Nordau. Autor

opisywał symptomy degeneracji, które zaobserwował podczas swego pobytu w Paryżu. „Rozpusta w Paryżu przypomina Sodomę i Lesbos”, pisał. Słowa Nordau ciągle dźwięczały mu w uszach zwiększając trwogę, która jak wąż wiła się w jego ciele. Jak ktoś tak niewinny jak ona mógł być świadom wszystkich zasadzek wielkiego miasta.

Cały czas poganiał swoje konie, zwolnił dopiero wjeżdżając w ulicę de l'Abreuville. Dopiero kiedy wszedł do obskurnego holu i zobaczył brudną klatkę schodową, pomyślał, że może jego obawy były bezpodstawne.

- Robię z siebie głupca dla dziewczyny, którą poznałem dopiero wczoraj - powiedział. - Co sobie pomyślał Dubucheron, kiedy tak wypadłem z domu bez wyjaśnienia... ?

Szedł po schodach z pogardliwą godnością mając zamiar zrobić jej wymówkę za nadużycie jego gościnności i ucieczkę w taki absurdalny sposób. Będąc w połowie drogi, usłyszał krzyk. Przyśpieszył kroku i wpadł przez otwarte drzwi wprost na Unę. Machinalnie wziął ją w ramiona. Z twarzy mężczyzny, który ją gonił, domyślił się, do czego zmierzał.

- Niech mnie pan stąd zabierze! - wołała. Czuł walenie jej serca i strach, który zawładnął jej ciałem. Spojrzał na młodego malarza. Wyraz jego twarzy i oczu był odstraszący. Artysta poddał się.

- Czy to twoja mała poule (Poule (fr.) - tu: kurczątka, pieszczotliwie o kobiecie.) - powiedział pojednawczym tonem. - Powinieneś lepiej się nią opiekować.

- Masz rację - zgodził się książę i wyprowadził Unę z pracowni.

Cały czas płakała opierając się na jego ramieniu.

- Już wszystko w porządku - powiedział. -
Zabieram panią do domu.

Chociaż schody były wąskie, jakoś udało mu się zejść cały czas trzymając ją przy sobie. Wsadził ją do swego wolanta i zapłacił dorożkarzowi.

- Zostawiłam kapelusz - powiedziała, kiedy odjechali.

Uśmiechnął się.

- W takim razie albo będzie musiała pani chodzić z gołą głową, albo pozwoli mi pani kupić nowy.

Nie odpowiedziała, tylko po omacku zaczęła szukać w torebce chusteczki. Wręczył jej swoją.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Nie wiedziałam, że ktoś tam jest.

- Dlaczego pani tam pojechała?

- Myślałam, że znajdę jakieś obrazy taty i za nie kupię sobie nową suknię, jak pan sobie życzył.

Jej głos tak się łamał, że z trudnością docierał do jego uszu.

- Nie spodziewała się pani, że ktoś tam będzie.

- Ten artysta wprowadził się dopiero dziś rano. Chciał, żebym mu pozowała. Pomyślałam, czemu nie, jeśli mi zapłaci, ale nie wiedziałam, że kobiety pozują nago.

- Twój ojciec był malarzem - powiedział ostro zdziwiony jej odpowiedzią. - Na pewno korzystał z usług modelek.

- Malował tylko mamę. Nie malował nagich kobiet.

Książę zastanowił się. Jeśli rzeczywiście nigdy nie była w pracowni malarskiej, nie wiedziała, jak pozują modelki.

- Dlaczego ten młody gbur cię ścigał?

- Kiedy mu odmówiłam, powiedział, że sam mnie rozbierze.

- I tylko tyle? - zapytał. Zasłoniła oczy chusteczką.

- To nigdy nie powinno się zdarzyć - powiedział do siebie ze złością.

Potem jakiś kpiący, wewnętrzny głos zapytał, czy rzeczywiście mogłaby być tak naiwna, żeby wplątać się w

taką głupią sytuację. Nadal odczuwał niepokój, który prześladował go w drodze na Montmartre.

- Proszę posłuchać - powiedział innym tonem. - Posłuchaj mnie. Uno. Chyba mogę cię tak nazywać?

Zwróciła ku niemu głowę. Jej długie mokre rzęsy sprawiały, że wyglądała nie tylko dziecinnie, ale i żałośnie.

- Nigdy nie będziesz jeździć sama po Paryżu! To rozkaz.

- Wiem, że powinnam panu powiedzieć, dokąd jadę, ale gdybym znalazła jakieś obrazy, mogłabym sobie kupić nowa suknię. Chciałam, żeby to była niespodzianka...

- A więc dlatego pojechałaś na Montmartre.

- Tak bardzo chciałam wyglądać atrakcyjnie.

- Zabawna z ciebie istota, oczywiście, że wyglądasz atrakcyjnie. Jesteś bardzo ładna. Już dawno nie widziałem tak ładnej kobiety. „Może nawet nigdy” - pomyślał, ale nie miał zamiaru mówić tego na głos.

- Czy pan naprawdę myśli, że jestem ładna? - Twarz Uny rozpromieniła się.

- Naprawdę. Jako córka malarza powinnaś wiedzieć, że skoro jesteś tak piękna, winnaś mieć oprawę godną swej urody. Ja chcę ci ją dać.

- Myślałam, że nigdy się panu nie spodobam, po tym jak zobaczyłam w restauracji tyle pięknych kobiet. W dodatku mademoiselle Yvette Joyant wyglądała tak ponętnie wczorajszej nocy.

- Czy to nie twój ojciec mówił, że podobnie jak są różne rodzaje obrazów są i różne rodzaje kobiet, a mężczyźni na szczęście mają różne gusta.

- Jeśli dziś zjem z panem kolację w mojej jedynej sukni - zapytała nieśmiało - czy nie będzie się pan mnie wstydził?

- To, co powiedziałem, było bardzo niegrzeczne, ale zrobiłem to dlatego, abyś pozwoliła kupić sobie suknię.

- Miałam to sobie przemyśleć.

- Tak, ale lepiej już przestań nad tym myśleć i zostaw to mnie. - Widząc jej wahanie, spytał: - Czy masz jakieś wątpliwości?

- Chciałabym to jakoś uporządkować w mojej głowie i mieć czas na odpowiedź.

- Czy zwykle tak robisz? - spytał zaciekawiony.

Pokiwała głową.

- Modłę się żarliwie i po jakimś czasie już wiem, co robić.

- No cóż, mam nadzieję, że Ten, co cię słucha w niebiosach, zdaje sobie sprawę, że w przeciwieństwie do kwiatów potrzebujesz do okrycia czegoś bardziej konkretnego niż piękno swojej skóry. Policzki Uny poczerwieniały.

- Być może... jeśli ofiaruje mi pan jedną niedrogą suknię, mama nie będzie na mnie zła.

- Albo twoja mama, której już nie ma na tym świecie, będzie zła, albo ja, tu obecny. Wybór, kogo chcesz sobie zjednać, należy do ciebie.

Impulsywnie zwróciła ku niemu twarz.

- Proszę się na mnie nie gniewać. Nie mogłabym tego znieść. Byłoby cudownie mieć nową suknię.

Ogarnęło go uczucie triumfu. Był zwycięzcą w tej niezwyklej i wyczerpującej potyczce, Kiedy jednak spojrzął w oczy Uny, pomyślał, że mimo wszystko jest to pyrrusowe zwycięstwo.

Rozdział 6

Wjechali brawurowo na dziedziniec. Zdawało jej się, że wszyscy służący patrzą na jej załzawione oczy i dostrzegają brak kapelusza. Księżę pomógł jej wysiąść i zaprowadził do salonu.

- Przyniosę kieliszek szampana, to ci dobrze zrobi.
- Przepraszam - wymamrotała.
- To nie twoja wina. Ktoś powinien cię ostrzec, że kobieta nie może chodzić bez opieki po Paryżu.
- Jestem zupełnie sama - usłyszał jej szept, gdy dochodził do tacy z szampanem.

Nalał szampana do dwóch kieliszków i zaniósł stojącej na dywaniku przed kominkiem Unie. Wyglądała prześlicznie mimo przygnębionej miny i śladów łez. Wiedział, że każda inna kobieta w takim momencie stałaby przed lustrem, żeby poprawić swój wygląd.

- Czy jest pan na mnie zły?
- Nie, ale na przyszłość pamiętaj, żeby mnie powiadamiać, co zamierzasz zrobić.
- Ale pana może nie być.
- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. Cały wieczór jeszcze przed nami.
- Czy nadal chce pan zabrać mnie na kolację? - spytała patrząc na niego rozpromienionymi oczyma.

- Byłbym rozczarowany, gdybym musiał pójść sam.

Ich oczy spotkały się. Serce zaczęło jej bić mocniej. Nie mogła odwrócić od niego wzroku. Przez chwilę milczał, jakby coś rozważając.

- Poczekaj tutaj, chcę ci pokazać jeden obraz. Wszedł do holu i przyniósł płótno, na którego widok Una oniemiała z radości.

- A więc to pan ma ten obraz! Ma pan mój portret namalowany przez ojca. Jadąc do pracowni miałam nadzieję,

że go tam znajdę. - Wzięła obraz i podeszła do okna. - Ojciec namalował go, kiedy miałam dziewięć lat, ale nigdy nie skończył.

- Dlaczego? - dopytywał się.

- Powiedział, że jest zbyt konwencjonalny, zbyt pospolity, a ja byłam złą modelką, nie chciałam stać spokojnie.

Oboje się roześmiali, jakby dzieląc się wspólnym żartem.

- Czy to twój dom? - spytał wskazując na budynek w tle.

- Był o wiele ładniejszy. Tata nie namalował bluszczu pnącego się po jednej ścianie i róż, które wypełniały zapachem każdy pokój.

- Byłaś w nim szczęśliwa?

- Bardzo. Mama zawsze miała dobry humor, choć byliśmy bardzo biedni - zamilkła na chwilę. - Ale nie tak biedni jak ja teraz.

- Uno - zaczął, kładąc rękę na jej ramieniu. W tym momencie otworzyły się drzwi.

- Lord Stanton, wasza wysokość - oznajmił lokaj.

Książę odwrócił się ze zdziwieniem. Do pokoju wszedł mężczyzna w średnim wieku z czerwoną twarzą i czarnymi wąsami.

- Witaj, Blaze! - wykrzyknął - Nie wiedziałem, że jesteś w Paryżu.

Książę niechętnie podszedł do nowo przybyłego i uściśnął mu rękę.

- Przyjechałem wczoraj - oznajmił nieco chłodno.

- No to miałem szczęście! - zakrzyknął lord Stanton. - Możesz mnie przenocować? Właśnie spóźniłem się na pociąg do Nicei. Pomyślałem, że twój dom będzie otwarty.

Lord Stanton roześmiał się serdecznie, jakby powiedział dobry żart. Później jego wzrok spoczął na Unie. Blask słoneczny zmienił jej włosy w złoto. Wyglądała przepięknie.

- Uno, poznaj mego kuzyna lorda Stanton - powiedział książę. - Stantonie, to jest panna Thoreau.

Kuzyn księcia podszedł do niej ze skwapliwością mężczyzny w średnim wieku, który widzi młodą i piękną dziewczynę.

- Miło mi panią poznać - powiedział. - Widzę, że Blaze jak zawsze otacza się najpiękniejszymi kobietami.

Ten komplement zawstydził ją.

- Właśnie podziwialiśmy obraz namalowany przez ojca panny Thoreau - odparł książę.

- Niech no na niego zerknę. Czy to pani? Jak pani urosła od tego czasu, a jak wyładniała.

Znów wybuchnął śmiechem, a ona skrepowana popatrzyła na księcia.

- Myślę, że chciałabyś się przebrać. Wychodzimy o ósmej - zwrócił się książę do Uny.

Pożegnawszy uśmiechem lorda Stanton opuściła pokój. Ten bacznie ją obserwował, a kiedy została sama, powiedział:

- Na Boga, Blaze, ty to masz oko! Nie widziałem ładniejszej dzierlatki... i w dodatku Angielka!

Książę spoważniał.

- To nie tak, Bertie, panna Thoreau jest moim gościem, jestem wielbicielem obrazów jej ojca.

- I jego córki, co? - szturchnął go porozumiewawczo. - Jest zupełnie inna niż Rose.

- Już ci mówiłem - zachnął się rozzłoszczony książę - że twoje wulgarne insynuacje są bezpodstawne. Panna Thoreau jest bardzo młoda, a jak wiesz, młode dziewczęta mnie nie interesują. Każę przygotować dla ciebie pokój. Czy tutaj zjesz kolację?

- Pewnie, że nie! Nie mam zamiaru wieczerzać w Paryżu sam. Wpadnę do klubu, na pewno spotkam kogoś znajomego i wybierzemy się gdzieś.

- Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił - powiedział ozięble książę.

Zatroszczywszy się o wygodę kuzyna poszedł do gabinetu Beaumonta.

- Nie wiedziałem, że wasza wysokość już wrócił - powiedział Beaumont wstając zza biurka.

- Właśnie przyjechał Bertie Stanton, chce, żebym go przenocował.

- Lord Stanton! - wykrzyknął Beaumont.

- Chyba dałem ci wyraźne instrukcje, że nie życzę sobie żadnych odwiedzających - warknął, a widząc konsternację na twarzy swojego majordomusa dodał: - Wiem, że to nie twoja wina. Któż nie zna Bertiego. Wepchnąłby się i do pałacu Buckingham, gdyby tylko zechciał.

- Cóż, mogę tylko przeprosić.

- Na szczęście wyjeżdża do Nicei porannym pociągiem. Masz dopilnować, żeby się w nim znalazł.

- Oczywiście - odparł skruszony Beaumont. - Przyszedł list z angielskiej ambasady.

Otworzywszy solidnie zaklejoną kopertę książę powoli czytał treść listu.

- To od premiera - powiedział po chwili. - Píše, że królowa prosi, bym za trzy dni pojawił się w Windsorze. Będą dyskutować nad nominacją nowego wicekróla w Irlandii. Na to stanowisko premier chce mnie zaproponować.

- Moje najszczerze gratulacje - powiedział Beaumont

- Jeszcze nie powiedziałem, że się zgodzę - zaprotestował książę.

- Nikt lepiej nie nadaje się na to stanowisko. Proszę sobie przypomnieć, mówiłem, że stoi pan na rozstaju dróg.

Jeszcze raz spojrzął na list i przeczytał paragraf, o którym nie wspomniał Beaumontowi.

Królewska mość nadmienia, że wicekról powinien być żonaty. Śmiem jednak twierdzić, że ten problem może pan bardzo łatwo rozwiązać w najbliższej przyszłości.

Premier nawiązywał z pewnością do faktu, że całe londyńskie towarzystwo oczekiwało zaręczyn księcia z Rose Caversham. Ponieważ nie miał zamiaru się z nią żenić, miałby pretekst do odrzucenia nominacji. Wiedział jednak, że zrobiłby tym ogromny zawód premierowi. Księżę w swym ostatnim przemówieniu w Izbie Lordów wyraził swe szczere poparcie dla partii premiera, a ten bardzo go cenił i często konsultował się z nim w różnych sprawach. Księżę nie chciał swą odmową zniszczyć przyjaźni z człowiekiem, którego darzył ogromnym szacunkiem.

- Przemyślę to - powiedział chowając list do kieszeni. - To zbyt ważna decyzja, żeby podjąć ją tak szybko.

- Oczywiście, wasza wysokość - zgodził się Beaumont. - To stanowisko jest jak wyzwanie, a przecież wyzwania pan lubi.

„Oto następne wyzwanie - pomyślał księżę idąc do swojej sypialni. - Tym wyzwaniom nie ma końca”.

Siedząc w restauracji Una pomyślała, że nigdy nie przeżyła nic piękniejszego niż ta kolacja we dwoje. Ubierając się miała nadzieję, że księżę zabierze ją w takie miejsce, w którym nie będzie rzucała się w oczy. Bała się, że z czystej uprzejmości zaprosi swego kuzyna, lorda Stantoną o czerwonej twarzy, a ten na pewno popsuje im cały wieczór.

Z wdzięcznością myślała o księciu, który pojawił się w jej życiu, kiedy najbardziej tego potrzebowała. Był jak rycerz ratujący ją przed strasznym smokiem. - „Jest taki cudowny” - mówiła do siebie, chciała z nim być, chciała z nim rozmawiać, chciała, żeby nikt im nie przeszkadzał. - „Proszę Cię, Boże,

żeby lord Stanton pojechał na kolację gdzie indziej" - modliła się.

Książę wyglądał wspaniale w swoim wieczorowym stroju. Czekał na nią sam i biegnąc do niego jaśniała radością, wiedząc, że jej obawy były bezpodstawne.

Kiedy jeszcze siedziała przed lustrem, rozległo się pukanie i weszła pokojówka z bukietem białych orchidei.

- Kwiaty, m'nselle.

- Właśnie tego potrzebowałam! Czy mam je przypiąć do sukni, czy do ramienia?

- Czemu nie we włosy, m'nselle?

- Wspaniały pomysł! Będę wyglądała bardziej sztywnie.

I rzeczywiście z orchideami we włosach wyglądała jak bogini wiosny. Na jej widok książę pomyślał, że w żadnym diademie z kolekcji Wolstantonów nie byłoby jej bardziej do twarzy.

- Dziękuję za prześliczne orchidee. Mógłby pan patrzeć tylko na nie, a nie na moją suknię, która jest taka skromna.

- Mogę niestety patrzeć tylko na twoją twarz. Zdziwiła się, a kiedy ich oczy spotkały się, jej policzki oblały rumieniec.

- Powóz czeka. Zabieram cię w przytulne miejsce, nie dlatego że wstydzę się twojego wyglądu, ale że chcę z tobą porozmawiać.

- Nie mógł mi pan zrobić większej przyjemności! - wykrzyknęła.

Po przyjeździe do „Grand Vefour” pomyślała, że jest to właśnie takie miejsce, w którym chciałyby spędzić wieczór sama z księciem.

„Grand Vefour” nie zmieniła się od czasów rewolucji, kiedy po raz pierwszy ją otworzono. Malowane panele na ścianach, duże lustro i wygodne pluszowe krzesła służyły całemu pokoleniom smakoszy.

Książę długo wybierał dania, a Una rozglądała się wokół z zachwytem.

- Ten wieczór należy tylko do nas - odezwał się do niej z uśmiechem.

- Tak wspaniale być... z panem...

- Nie miałem zamiaru zapraszać więcej osób, ale jeśli zechcesz później się pobawić, jest z czego wybierać.

- Chcę być tylko z panem.

W jej głosie było tyle szczerości, że zastanawiał się, czy rzeczywiście tak myśli, czy tylko przez uprzejmość okazuje radość.

Kiedy ubierał się do kolacji, wszystkie obawy, jakie żywił w stosunku do niej, rozwiały się.

Była córką Thoreau - co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Może więc naprawdę spotkała Dubucheroną dopiero wczoraj. Jeśli tak, to rzeczywiście była niewinna.

„Porozmawiam z nią dziś wieczorem - pomyślał. - Wtedy ostatecznie sprawdzę, czy nadal mam podstawy, by być podejrzliwy”.

Zabierając Unę z Moulin - Rouge zamierzał oczywiście spędzić z nią noc. Wszystko temu sprzyjało. Jej kuferek Dubucheron zostawił w jego domu, a ona spała w pokoju, który przylegał do jego sypialni.

Nie przyszedł do niej, choć taki miał zamiar, ponieważ oboje byli zmęczeni. Ale dzisiejszy wieczór może zakończyć się inaczej. Był pewien, że pod koniec kolacji Una da mu do zrozumienia, czego od niego oczekuje. Niepokoił go tylko ledwo dostrzegalny sposób, w jaki wzbraniała się przed każdym przekroczeniem granic intymności podczas dnia. A może po prostu w swojej niewinności nie wiedziała, jakie książę ma wobec niej zamiary.

Był jeszcze jeden poważny problem. Jeżeli rzeczywiście Una nie ma krewnych w Paryżu, czy może zostawić ją na

łasce jej jedyne „przyjaciela” Dubucheron? Dobrze wiedział, jaki ten zrobiłby z niej użytek. Siedząc obok niej w „Grand Vefour” zastanawiał się - czy kobieta może wyglądać tak niewinnie i nieskazitelnie, a jednocześnie tak ponętne, że trudno się jej oprzeć. Podczas posiłku rozmawiali o błażostkach. Była tak głodna, że pochłaniała wszystko, co przed nią stawiano.

- A teraz możemy porozmawiać o nas! - powiedział, kiedy wreszcie podano kawę.

- Mam tak mało do powiedzenia - odparła - a pan tak dużo... Czuję, choć może się to wydać głupie, że rozmyśla pan o czymś o wiele ważniejszym niż ta kolacja.

- To brzmi jak wyrzut. Czy nie byłem towarzyski?

- Był pan wspaniały!

- Co zatem chciałaś zasugerować?

- To coś, co widzę w moim magicznym zwierciadle; coś, co się zdarzyło, albo się wydarzy... i pan właśnie o tym myśli.

Był zadziwiony.

- Skąd to wiesz?

- Po prostu to czuję.

- Jesteś zdumiewającą osobą. Masz rację, coś się wydarzyło...

- Co takiego?

- Dostałem list od premiera, markiza Salisbury. Zaproponował mi stanowisko wicekróla w Irlandii.

- Wicekróla?

- To wielkie wyróżnienie, tym bardziej że dotychczasowi wicekrólowie byli o wiele starsi ode mnie.

- A więc wyjeżdża pan do Irlandii?

- Jeszcze nie wiem. Ale spodziewam się, że skoro stary wicekról przechodzi na emeryturę, królowa nie będzie długo czekać z powołaniem następnego,

- Jest pan na pewno najlepszym kandydatem - odparła.

- Dlaczego?

- Czytałam o Irlandii i o jej trudnościach. Myślę, że jedynym człowiekiem, który może im zaradzić, jest pan.

Książę popatrzył na nią ze zdziwieniem. Nie spodziewał się, że cokolwiek wie na temat sytuacji w Irlandii.

- Jeśli zdecyduję się tam jechać, będziemy musieli się pożegnać. Nie mogę przybyć do Dublina ze ślicznym, młodym kustoszem.

- Oczywiście...

- Mimo wszystko namawiasz mnie, żebym przyjął to stanowisko?

Odwróciła się, żeby nie widział wyrazu jej oczu.

- Jeśli jest pan najwłaściwszą osobą, o czym jestem przekonana, obowiązkiem pana jest je przyjąć.

- A co ty zamierzasz robić?

- Znajdę jakieś mieszkanie, ale sama nie chcę zostać w Paryżu.

- Bez względu na to, czy chcesz, czy nie i tak bym do tego nie dopuścił. Postaram się, żebyś mogła wrócić do Anglii.

Zastanowił się, co właściwie w tej sytuacji może zrobić. Czy pozostawienie jej samej w Londynie cokolwiek zmieni?

„Jest taka śliczna i taka młoda” - myślał.

Widząc, że się o nią martwi, odezwała się:

- Proszę się mną nie przejmować. Dopiero co mnie pan poznał i okazał mi tyle wyrozumiałości i dobroci. Kiedy pan wyjedzie, poproszę monsieur Dubucheron, żeby znalazł dla mnie jakiś kąt i poszukał pracy.

Gdy tylko wspomniała Dubucheron, poczuł, że pozostawienie jej w rękach tego człowieka byłoby zbrodnią. Nigdy jeszcze tak nie przejmował się żadną kobietą. Kiedy uznawał romans za zakończony, dalsze losy kobiety nie obchodziły go.

Una była inna - młoda, bezbronna i niewiarygodnie piękna. Zauważył, jak patrzyli na nią wszyscy mężczyźni w restauracji. Jeden siedzący naprzeciwko ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

- Najlepiej będzie, jak zostanę i zaopiekuję się tobą. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebujesz wsparcia kogoś doświadczonego.

Spojrzała na niego osłupiała z wrażenia.

- Nie wolno panu nawet o tym myśleć. Jeśli jestem niewygodnym gościem, wyjadę jutro. Mama zwykła mówić: „Nie ma nic bardziej męczącego niż gość, który nie wie, kiedy ma wyjechać”.

- Myślisz, że to dotyczy ciebie?

- Sam pan powiedział... mamie nie spodobałby się mój pobyt w pańskim domu bez opiekunki. Dziś wieczorem zdawało mi się, że pański kuzyn podziela to zdanie.

- Nie przejmuj się kuzynem Bertie! - odparł ze złością. - Sam się wprosił. Nigdy nie miałem z nim nic wspólnego.

- Ale przecież jest pańskim kuzynem, a krewni mają specjalne przywileje.

- Jedyłą wadą moich krewnych jest to, że jest ich zbyt wiele.

- Jest pan szczęściarzem, ja nie mam żadnych.

- Jak można nie mieć nikogo? - Znów przyszło mu na myśl, że udaje biedną sierotkę.

- To prawda, ojciec zerwał kontakt z rodziną po wyjeździe Anglii. Krewni mamy po jej ucieczce z tatą nigdy się do nas nie odezwali.

- A więc jesteś sama - zauważył. - Ale masz mnie!

- Gdyby dziś po południu nie przyszedł mi pan z pomocą...

- Zapomnij o tym, jesteśmy w Paryżu, miejcie radości i zabawy. - „I jeszcze wielu innych rzeczy” - pomyślał, ale nie miał zamiaru dyskutować o nich z Uną.

- Czy wie pan, co chciałabym teraz zrobić?

- Co?

- Zobaczyć Paryż nocą. Nie żadne miejsca rozrywki, nie to miałam na myśli.

- A co?

- Chciałabym się przejechać wzdłuż brzegów Sekwany, zobaczyć oświetlony plac Zgody i Pola Elizejskie.

Uśmiechnął się.

- To świetna myśl. Każę odsunąć dach naszego powozu. Ciekawe, czy za kilka lat sam pomysł oglądania Paryża nocą też wyda ci się taki ekscytujący.

- Czy można być kiedykolwiek za starym, żeby podziwiać piękno?

- Dla niektórych jest to po prostu nieuniknione.

- W takim razie ja taka nie jestem. Kiedy wyjeżdżałam z Florencji, cieszyłam się, że zobaczę Paryż. Jednak ostatniej nocy w Moulin - Rouge...

- Nie od Moulin - Rouge powinnaś zacząć zwiedzanie Paryża. Są inne ciekawsze miejsca. Powinnaś też chodzić na bale i przyjęcia.

- Wolę rozmawiać z panem.

- Gdybyś była panienką z dobrego domu, nigdy by ci na to nie pozwolono.

- Czemu nie?

- Ponieważ dobrze wychowane młode damy trzymane są z dala od mężczyzn, dopóki nie wyjdą za mąż.

- No to jak mogą wyjść za mąż?

- Cóż, małżeństwa w Anglii i we Francji najczęściej są zaaranżowane.

- Zawsze uważałam, że to potworny zwyczaj. Jak można poślubić kogoś, kogo się nie kocha i prawie nie zna? - Wzdrygnęła się. - Broniłabym się przed tym, chyba żebym kogoś kochała, tak jak tata kochał mamę.

Zdecydował, że małżeństwo nie jest tematem, na który chciałby z nią rozmawiać. Poprosił o rachunek i zapłacił sumę, która wydała jej się bardzo wysoka. Czuła się z tego powodu trochę nieswojo. Książę nie chciał mieć żadnych gości, a Dubucheron narzucił mu jej towarzystwo. Sam fakt zostawienia jej kuferka mówił sam za siebie.

„Powinnam zapytać monsieur Dubucheron, co dla mnie zaplanował, zanim pojechałam do księcia” - pomyślała.

Wchodząc do powozu zdała sobie sprawę, że kiedy książę wyjedzie do Anglii i przyjmie stanowisko wicekróla, ona zostanie sama. Posmutniała na tę myśl.

Lokaj otworzył dach i okrył jej nogi pledem. Kiedy usiadł na koźle, książę ujął jej rękę. Zupełnie się tego nie spodziewała i zaczęła drżeć, a jemu wydawało się, że trzyma małego ptaszka lub motylka. Zastanawiał się, dlaczego wywołuje w nim tyle emocji. Nigdy tak delikatnie nie obchodził się z żadną kobietą, ale też żadna nie postępowała z nim w ten sposób. Una nie uciekała się do kobiecych sztuczek i nie robiła najmniejszego wysiłku, żeby podniecać go fizycznie. W jej spojrzeniu widział tyle zaufania i szczerego podziwu, że zaczął się zastanawiać, czy coś jeszcze do niego czuje. Gdyby chodziło o inną kobietę, odgadłby od razu, czy to miłość, czy tylko fizyczne pożądanie.

Nagle przyszło mu na myśl, że cudownie byłoby wzbudzić w niej miłość. Delikatne drżenie jej dłoni nie oznaczało strachu, ale podniecenie. Czuł coraz szybsze bicie swego serca i krew tętniącą w skroniach. Zapragnął wziąć ją w ramiona i pocałować. Pragnął tego, odkąd po raz pierwszy ją zobaczył, ale powstrzymywała go obawa, że ją przestraszy. To byłoby

jak zaprzeczenie własnej męskości, gdyby teraz nie powiedział jej, co czuje.

Dojechali do placu Zgody, gdzie złote głowy pięknie ozdobionych lamp oświetlały fontanny tryskające opalizującą wodą. Una mocniej ścisnęła jego rękę.

- Jak tu ślicznie!

- Sama jesteś śliczna - odparł. - Powiedz mi, Uno, co do mnie czujesz?

Spojrzała na niego, a on objął ją ramieniem i przysunął do siebie.

- Dzisiaj był pan jak rycerz spieszący mi z pomocą.

- Zawsze chcę być twoim rycerzem, ale damom w potrzebie było wszystko jedno, kto przybywał im na pomoc.

- Przecież pan wie, jaka jestem wdzięczna.

- Wdzięczność można okazywać każdemu. Spójrz w swoje zakłete zwierciadło i powiedz mi, co do mnie czujesz?

- Jest pan najwspanialszym mężczyzną, jakiego znam i... jest pan bardzo dobry i... - tu przerwała.

- I...? - ponaglał

- I jest pan najwłaściwszą osobą na stanowisko wicekróla w Irlandii!

- Przecież mówiłem ci, że powinienem zostać i zaopiekować się tobą.

- Tylko pan żartował. Dam sobie radę.

- Skąd będę wiedział?

- Mogłabym do pana pisać... To lepsze niż utracić pana na zawsze.

- Byłabyś zadowolona, gdyby mnie nie było?

- Zadowolona!? To będzie straszne, ale zostaną mi wspomnienia. Będę pamiętała to wszystko, co pan do mnie powiedział, i wszystkie chwile, jakie spędziliśmy razem.

Chciał ją pocałować, ale zdecydował, że nie wypada w otwartym powozie w obecności lokaja i stangreta. Uścisnął ją jeszcze mocniej i szepnął:

- Przysuń się jak najbliżej. Położyła głowę na jego ramieniu.

- Przy panu czuję się taka bezpieczna - zamruczała. - Tak się boję być sama... tak się boję... Wciąż sobie powtarzam, że muszę jakoś dać sobie radę, ale nie wiem, od czego zacząć.

Przyszło mu na myśl, że zabierze ją do jednego ze swych domów w Anglii i będzie spędzać z nią każdą wolną chwilę. Być może znajdzie później jakąś wymówkę, żeby zabrać ją do Irlandii. Nawet gdyby przystała na takie warunki i tak wkrótce cała sprawa wyjdzie na jaw. Prasa wywęszy wszystko. Swoim postępkami skrzywdzi nie tylko Unę, ale również podważy reputację własną i Brytyjskiej Korony. - „Co, u licha, mam robić?” - pytał sam siebie.

Wreszcie postanowił, że nie zrezygnuje z niej, cokolwiek się stanie. Rozpalała go sama bliskość jej ciała, a pożądanie zwiększało się z każdą minutą. Chciał krzyknąć: - „Pragnę cię, pragnę cię bez pamięci!” Gdyby się nie opanował, mogłaby się przestraszyć i uciec tak jak przed tym młodym malarzem dziś po południu. Chciał ją uwodzić delikatnie, żeby otworzyła się przed nim jak pąk kwiatu przed promieniami słońca.

To już nie była ognista, impulsywna, nieokrzesa żądza, ale coś subtelniejszego i o wiele bardziej podniecającego. Miłość zawsze była dla niego romantyczną nazwą na fizyczną więź dwojga ludzi. Nigdy nie rozczulał się poetycznymi fantazjami, jak niektórzy jemu współcześni. Zawsze podchodził z dystansem do kobiet, z którymi się kochał. Powoli dostrzegał ich wady i nawyki, które coraz bardziej go irytowały. W Unie wszystko go zachwycało. Wdzięk jej ciała i

piękno twarzy miało w sobie coś uduchowionego, czego nie znalazł w żadnej innej kobiecie.

„Do diabła z Irlandią! - pomyślał. - Znalazłem coś o wiele bardziej ważnego”.

Jechali w milczeniu, dopiero jej zachwyty wyrwał go z zamyślenia. Patrzyła na srebrne od blasku gwiazd wody Sekwany. Stała w powozie, żeby więcej zobaczyć. Wpatrywał się w jej profil i poczuł, że jest ślepo zakochany. Nie pamiętał, żeby czuł kiedykolwiek coś takiego. Czuł się jak nurek, który przez długie lata szuka w morzu idealnej perły i na jej widok zamiera z zachwyty.

- To właśnie jest prawdziwy Paryż - szepnęła. - Wczoraj w nocy widziałam tylko imitację.

„To do niej podobne - pomyślał. - Zawsze powie coś trafnego”.

Przyciągnął ją do siebie i okrył pledem, myśląc, że dała mu szczęście, jakiego do tej pory nie znał. Cały czas jechali w milczeniu. Nie było potrzeby na rozmowę. Ich dusze i serca rozmawiały bez słów. Uwolnił ją z uścisku dopiero, kiedy dojechali do domu.

W blasku świateł jej oczy wydały mu się oczami dziecka, które było w krainie czarów. Wysiedli i weszli do salonu, jakby każde wiedziało, czego chce drugie. Na chwilę zatrzymała się wpatrując się w niego. Sam nie wiedział, kto zrobił pierwszy krok, a już trzymał ją w ramionach.

- Moja kochana, moja śliczna! - szepnął i dotknął wargami jej ust.

Jej ciało zadrzało. Była jak schwytyany motyl. Wiedział, że jeśli nie będzie delikatny, zniszczy urok tej chwili. Po chwili jego pocałunek stał się bardziej zaborczy, ale cały czas panował nad swymi emocjami. Wiedział, że jest w tym pocałunku coś uduchowionego i doskonałego - namiętność i świętość zarazem.

- To było doskonale zakończenie tej najcudowniejszej nocy! - Jej głos zdawał się załamywać przy ostatnich słowach.

Ku wielkiemu jego zdziwieniu wybiegła z pokoju, zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje. Przez chwilę stał w bezruchu nie mogąc dojść do siebie! Jej głos wciąż dźwięczał mu w uszach. Pragnął, żeby została, pragnął jej bliskości i chciał, by należała tylko do niego.

„Jest taka młoda - szepnął. - Muszę być delikatny, nie wolno mi jej do siebie zrazić”.

Zrobił sobie drinka i podszedł do wychodzącego na ogród okna. Za drzewami widać było blask świateł z Pól Elizejskich.

„Jestem zakochany - powtarzał sobie. - Zakochany jak nigdy przedtem...”

Poczuł się zagubiony. Pragnął Uny nie tylko jako kochanki, ale jako towarzyszki na całe życie. Potem śmiał się z nedorzeczności takiego pomysłu.

Jako księżę Wolstanton należał do starego rodu, drugiego co do ważności po rodzinie królewskiej. Jak mógłby pojąć za żonę córkę malarza? Zniesławiłby dobre imię rodziny. Przyniósłby wstyd Stantonom, którzy odegrali w historii Anglii bardzo znaczącą rolę, dobrzy czy źli w życiu prywatnym, publicznie zawsze dumni i dystyngowani.

- To niemożliwe - powiedział głośno.

A jednak z każdą chwilą pożądał jej coraz bardziej. Próbował sobie wmówić, że kiedy już ją posiadzie, dojdzie do równowagi. Przeżyją razem szczęśliwe chwile, a przed odjazdem do Irlandii dopilnuje, żeby pieniędzy wystarczyło jej do końca życia.

Jednak to nie było to, czego pragnął. Chciał czegoś innego, czegoś więcej, czego nie można zaspokoić przez fizyczny kontakt dwojga ciał. Kochał, kochał miłością, o jakiej pisali poeci, jaką ukazywali malarze i jaką kompozytorzy wyrażali w muzyce.

To niewiarygodne, że musiał czekać prawie trzydzieści pięć lat, żeby nagle zakochać się w ciągu jednego wieczoru, właśnie wtedy, kiedy chciał się przez dwa tygodnie bawić w najbardziej frywolnym mieście na świecie.

- Co mam robić, Boże w niebiosach, co mam robić? - spytał głośno.

Jego własne pytanie powracało do niego echem, ale bez odpowiedzi.

W dwie godziny później poszedł na górę do swojej sypialni. Czekał tam na niego zmęczony pokojowy. Po wieczornej toalecie nie poszedł do łóżka, ale stał zamyślony przy oknie. Drzwi do pokoju Uny były obok, a mimo wszystko wiedział, że ich nie otworzy. Nie mógłby jej uwieść, a potem zostawić. Za bardzo ją kochał. Pożądał jej, Bóg jeden wie, jak bardzo. Całe jego jestestwo domagało się jej miękkości i słodczy. Może właśnie dlatego nie mógł zniszczyć coś tak doskonałego i nad wyraz pięknego.

„Jutro pomyślę, co mogę dla niej zrobić, ale nie wolno mi jej dotykać. Jeśli to zrobię, nic mnie nie powstrzyma, zdobędę ją i wreszcie będzie moja”.

Wszystko, co nagromadziło się w nim przez lata próżności i pustych przyjemności, zostało zmiecione przez miłość większą niż pożądanie, wspanialszą niż jakakolwiek fizyczna żądza.

Chciał rzucić u jej stóp wszystko, co piękne i doskonałe, bo sama była tego ucieleśnieniem. Jednak to, co myślał i czuł, to dwie różne rzeczy. W jego myślach ta miłość była święta, ale jego ciało pożądało jej bez pamięci. Przyszło mu nagle na myśl, że jest to jego Getsemani (Ogród oliwek na stoku Góry Oliwnej, miejsce cierpień duchowych Chrystusa.), czas cierpienia, który prędzej czy później przychodzi do każdego.

„Myślałem, że miłość oznacza szczęście - powiedział do siebie - ale to tortury i ukrzyżowanie!”

Kiedy te słowa zdawały się zanikać w ciemności nocy,
usłyszał za sobą odgłos otwieranych drzwi.

Rozdział 7

Una opuściła salon w nieopisanym uniesieniu. Cokolwiek się zdarzy w przyszłości, będzie miała co wspominać. Czegoś tak wspaniałego nigdy już nie przeżyje.

Wiedziała, że tym, co czuła do księcia, była miłość. Chciała pozostać w jego ramionach, chciała, aby ją nadal całował, ale wiedziała, że jeśli zostanie, będzie mu ciężiej wyjechać. Musi przecież wypełnić swój obowiązek i przyjąć stanowisko wicekróla w Irlandii.

Być z nim to jak być w niebie, ale rozumiała, że nie wypada jej mieszkać w jego domu, bez opiekunki. Co by powiedzieli rodzice dziewcząt, z którymi była w szkole, gdyby dowiedzieli się, że koleżanka ich córki zachowuje się w taki sposób. Teraz już nie myślała o sobie, tylko o księciu. Jako namiestnik Irlandii będzie reprezentował majestat królowej, to znaczy wszystko, co szanowane i uświęcone obyczajem. Utrzymywanie młodej kobiety bez pieniędzy i dachu nad głową było w tej sytuacji niemożliwe.

- Co mam robić, mamó? Co mam robić? - pytała.

Przynajmniej tym razem jej modlitwa nie była rozpaczliwym wołaniem o pomoc. Pocałunek księcia sprawił, że cały świat jaśniał niebiańskim światłem. Powoli rozebrała się i położyła do łóżka robiąc sobie wyrzuty, że nie została z nim chociaż chwilę dłużej. Być może znów by ją pocałował. „Jutro zostawi mnie i wyjedzie do Londynu” - pomyślała i ukryła twarz w poduszce, bo agonią wydała jej się myśl o rozstaniu.

- Kocham go! Kocham! - krzyczała przez łyżę. Postanowiła nie zasypiać, tylko nasłuchiwać, jak

będzie szedł do swojej sypialni. Wiedziała, że dzielą ich tylko jedne drzwi. Ta bliskość sprawiała, że czuła się bezpieczna. Zostawiła zapaloną świecę, żeby nie zasnąć, i w kółko przeżywała wydarzenia dzisiejszego wieczoru: kolację

w „Grand Vefour”; wszystko to, co sobie powiedzieli, przejażdżkę otwartym powozem, światła na placu Zgody i srebrzyste wody Sekwany.

To było niewysłowione szczęście czuć dotyk jego ust, siłę jego ramion i samą bliskość.

- Będę się za niego modlić przez całe życie - przysięgała sobie. - Modlić się, żeby pomagał innym ludziom, tak jak pomógł mnie, i żeby jego świątły umysł i wielkie serce przyniosły Irlandczykom dużo dobrego.

Zaczęła śnić, że opiera głowę na jego ramieniu, tak jak podczas przejażdżki powozem. Nagle zdała sobie sprawę, że ktoś otworzył drzwi do sypialni i usłyszała donośny sepleniący głos.

- Czy jusz szpiz, szliczna damo?

Przestraszyła się i otworzyła oczy. W otwartych drzwiach stał lord Stanton. Był kompletnie pijany. W przeszłości wiele razy widziała pijanego ojca, co ją przerażało i szokowało. Jednak widok pijanego lorda Stantona z przyklepionym uśmiechem na ustach był jeszcze bardziej przerażający.

- Wpadłem pedzieć dobranosz - oznajmił - i pocałować najszylicniejszą damę, jaką oczy widziay.

- Proszę odejść! Nie ma pan prawa wchodzić do mojego pokoju!

Chciała, żeby to zabrzmiało ostro i groźnie, ale głos jej drżał i przypominał szept.

- Roszglądałem sze po czałym P - Paryszu - wymamlał chwiejąc się - i nie widziałem piękniejszej od czebie. Dlatego musisz pocałować na dobranocz.

- Nie! Nie! - wykrzyknęła.

Wyciągnął obie ręce i słaniając się szedł w jej kierunku.

Szybko zdała sobie sprawę z tego, że jej nie słucha. Na szczęście po drugiej stronie pokoju były drzwi prowadzące do

księcia. W tym momencie były jak łódź ratunkowa dla tonącego.

Czując gorący dotyk lorda Stanton'a z przytłumionym krzykiem popędziła w ich kierunku. Były ciężkie, o wiele cięższe, niż przypuszczała, ale użyła całej swojej siły, żeby je otworzyć, i udało się.

Książę odwrócił się zdziwiony, kiedy wpadła na niego blada ze strachu. Przez moment ciężko dyszała i nie mogła mówić, a kiedy ją objął, przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Co się stało? Kto cię tak przestraszył? - spytał.

Czując przez cienką koszulkę, że cała drży, pomyślał, że to musi być przeznaczenie. Przyszła sama do niego, kiedy on nie miał na to odwagi.

- Co się stało? - powtarzał w kółko.

- Ten mężczyzna... pański kuzyn, przestraszył mnie.

- Przestraszył cię?! Jak mógł!

- Powiedział, że chce mnie pocałować... - wyszeptała.

Ukryła twarz w jego ramionach wiedząc, że jest bezpieczna, i że tu jej lord Stanton nie dostanie.

- To się więcej nie powtórzy! - wykrzyknął ze złością.

Gwałtownie poruszył się, jakby chciał iść w kierunku drzwi, ale przywarła do niego mówiąc:

- Nie! Nie zostawiaj mnie! Po co robić zamieszanie.

- Nie będę tolerował takiego zachowania - odparł ostro.

Wiedział, że to jego wina. Dał Bertiemu bardzo wyraźnie do zrozumienia, że Una nic dla niego nie znaczy i że jest sama w jego domu. Bertie miał prawo pomyśleć, że jest kobietą lekkich obyczajów, bez żadnych moralnych zasad. Miała rację: nie będzie robił scen. Trzymał ją w ramionach wiedząc, że przyniosła mu odpowiedź na nurtujące go od dwóch godzin pytanie. Kochał ją i nie mógł, bez względu na konsekwencje, zostawić jej samej bez opieki.

- Jesteś bezpieczna, kochanie - wyszeptał - Nikt cię już nie obrazi.

W delikatnym świetle stojącej obok łóżka lampy wyglądała tak ślicznie, że przez moment nie mógł oderwać od niej wzroku, aż jego usta znalazły jej wargi. Całując ją poczuł, że już się nie trzęsie, tylko delikatnie drży z uniesienia. Dotyk jego ust trzymał ją w słodkim zniewoleniu, póki nie doznali uczucia, że szybują nad światem w zauroczeniu, jakiego dotąd nie przeżyli.

- Kocham cię, moja droga. Zamierzam się tobą opiekować. Nigdy już nie będziesz się bała.

Jej twarz promieniała.

- Nie... rozumiem... pan... pan powiedział... powiedziałeś, że nie mogę być z tobą.

- Proszę cię o rękę i nic na tym świecie nie jest ważniejsze prócz tego, że powinnaś być moją żoną.

Zaczął ją całować dziko, gwałtownie, póki jej usta nie stały się równie namiętne. Dopiero po chwili udało jej się wypowiedzieć ledwo słyszalne, urywane słowa:

- Kocham cię! Kocham... Nigdy nie myślałam, że kiedykolwiek to ode mnie usłyszysz.

- Ja też cię kocham i mam zamiar ci to powtarzać miliony razy do końca życia.

- Czy to prawda...? Czy możesz... naprawdę kochać... mnie?

- Nie znałem miłości aż do chwili, kiedy ujrzałem ciebie. Teraz rozumiem, że nie można się jej oprzeć

- Być może to źle, że kochasz właśnie mnie. Powinieneś ożenić się z kimś z towarzystwa... tym bardziej, że masz być wicekrólem...

- Nie będę wicekrólem - oświadczył. - Ożenię się z tobą i będziemy szczęśliwi. Wszystko inne nie ma znaczenia.

Una zeszywniała z wrażenia.

- Chcesz powiedzieć, że to przeze mnie?

W jej głosie znów rozbrzmiał strach. Nie chcąc jej niepokoić, powiedział:

- Nie mam zamiaru być wicekrólem. Chcę prowadzić normalne życie. Jedynym zaszczytem, którego pragnę, jest zaszczyt bycia twoim mężem.

Spojrzała na jego twarz, a później oparła obie ręce na jego piersi i leciutko go odepchnęła od siebie.

- Nie możesz rezygnować z tak ważnej misji. Idąc spać myślałam, jak wiele możesz pomóc Irlandczykom.

- Zapomnij o Irlandczykach - powiedział ostro. - Dla mnie liczysz się tylko ty. Kocham cię. Zajmie mi to trochę czasu, żeby powiedzieć ci, jak bardzo.

Chciał ją pocałować, ale nadal odpychała go.

- Nie mogę na to pozwolić - odparła. Uwolniła się z jego objęć i usiadła na łóżku. Nie zrobił nic, żeby ją zatrzymać, tylko cały czas czule na nią patrzył. Nigdy w swoim życiu nie spotkał kobiety, która by przedkładała jego dobro nad swoje własne. Podejrzewał, że każda chciałaby zostać księżną Wolstanton albo wicekrólową Irlandii.

Nie miała pojęcia, jak pięknie wygląda. Jej sylwetka w białej koszuli pięknie rysowała się na tle purpurowych zasłon spływających z baldachimu łoża. Nad nią mienił się wyhaftowany złotem herb rodziny Wolstantonów. Wydawała mu się nimfą z bajki, eteryczną i nierzeczywistą.

- Muszę pomyśleć... - powiedziała jakby do siebie.

- I tu nie masz racji. Pozwól swemu mężowi myśleć za ciebie. Jedynym twoim obowiązkiem, moja śliczna, jest go kochać.

Powoli zbliżył się do niej, a kiedy zwróciła ku niemu swoją zatroskaną twarz, odrzekł:

- Dość na dziś tych emocji. Idź do łóżka, a jutro rozwiążę pasze problemy w bardzo prosty sposób: - weźmiemy ślub, zostaniesz moją żoną!

Pokręciła głową.

- Moja żona musi mnie słuchać - powiedział z uśmiechem, biorąc ją w ramiona i tuląc do siebie.

- Próbuję ci tylko powiedzieć, co jest dla ciebie najlepsze - wyszeptała.

- Wiem, co jest najlepsze dla ciebie: Pocałuj mnie!

Chciała coś powiedzieć, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Znow w najwyższym zachwycie szybowali w niebieskich przestworzach.

- Kochanie, musisz iść spać - odezwał się wracając na ziemię. - Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Przypomniawszy sobie powód swojej nagłej wizyty znow zaczęła drżeć.

- Nikt cię już nie będzie niepokoił - zapewnił ją. - Zostawimy otwarte drzwi, żebym mógł cię słyszeć. Powinnaś pamiętać, że trzeba się zamykać na noc.

- Nie pomyślałam o tym. W klasztorze nie pozwalano nam ich zamykać.

Gdy to mówiła, zastanawiał się, jak mógł wątpić w jej niewinność i czystość. Dotykając ustami jej włosów, wiedział, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, bo znalazł to, czego wszyscy mężczyźni w kobiecie szukają, a tak niewiele znajduje.

- Zaniosę cię - powiedział cicho. Schylił się i wziął ją w ramiona.

- Już dość zmartwień na dzisiaj! Masz spać i śnić tylko o mnie.

- Nie mogłabym śnić, o niczym innym.

- Jutrzejszej nocy będziemy razem. Powiesz mi o swojej miłości, a ja ci powiem o mojej.

Niosąc ją do sypialni, czuł miękkość jej ciała i zapach włosów, który wzbudził w nim nie znane dotąd wrażenia. W pokoju nie było nikogo. Delikatnie położył ją na łóżku i okrył kołdrą.

- Kocham cię - powiedział, siadając przy niej. - Choć nie będziemy mogli jechać do Irlandii, będę równie szczęśliwy w Anglii, Francji albo gdziekolwiek zechcesz.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Jesteś taki cudowny, taki mądry... Nie chcę, byś się dla mnie poświęcał. Obiecuj mi jedną rzecz.

- Jaka?

- Pragnę choć trochę uczestniczyć w tym, co robisz... Nie będę sprawiać kłopotu, nie będę się narzucać, ale chcę być prawdziwą częścią twego życia.

- Zawsze nią będziesz - odparł przytulając ją. - Jedyną, która ma znaczenie. Jedyną, która jest również częścią mnie, ponieważ, moja słodka, będziemy stanowili jedność.

Jego usta znów spoczęły na jej wargach. Był głęboko poruszony tym, co powiedziała, i dlatego ten pocałunek wydał jej się świętym. Całe jej ciało i umysł pełne były miłości. Przyciągnęła go jeszcze bliżej. Pocałunek połączył ich w ekstazie, która zdawała się pochodzić od Boga.

Już nigdy nie będzie przestraszona i samotna w Paryżu lub w jakimkolwiek innym mieście.

Książę obudził się szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Wiedział, że zawdzięcza to Unie. Była czymś, co zawsze wydawało mu się nieosiągalne, pozostawało ideałem, który żadna żywa istota nie mogła ucieleśnić.

Uznał, że z wszystkimi poprzednimi kobietami tracił tylko czas. Una wypełniła w nim coś, co było jego nieodłączną częścią, i sam się dziwił, jak mógł do tej pory istnieć bez niej.

Wstał z łóżka i podszedł do otwartych drzwi jej pokoju. Chciał ją obudzić pocałunkiem, ale się powstrzymał. Cichutko zamknął drzwi i zadzwonił po pokojowego.

Słońce migotało w koronach drzew w ogrodzie. Z pewnością otuli Unę złotą mgiełką promieni. Nie można było sobie wymarzyć piękniejszego dnia na ślub. Był już prawie ubrany, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wkroczył Beaumont.

- Wcześniej przychodzisz, Beaumont - powiedział czesząc włosy dwiema szczotkami z kości słoniowej - ale i tak zamierzałem po ciebie posłać.

- Przeszedł Dubucheron i przyniósł to - powiedział majordomus wręczając księciu poranne wydanie „Le Jour”.

Na pierwszej stronie ujrzał mocno zakreślony artykuł,

- Pewnie przyszedł po pieniądze - odparł książę. - Daj mi tysiąc funtów, zasłużył na nie!

- Tysiąc funtów!!! To z pewnością za wiele! - wykrzyknął Beaumont.

Książę nic nie odpowiedział i jego majordomus zrozumiał, że nie życzy sobie żadnych sprzeciwów. Książę zaczął czytać zakreślony artykuł.

ZAGINIONY SPADKOBIERCA

Panowie Caulder i Stephens, znani londyńscy adwokaci, przyjechali wczoraj na Montmartre. Nie są jednak zainteresowani obrazami młodych artystów, które przyciągnęły uwagę świata sztuki. Szukają natomiast malarza, który ich zdaniem posiada tam pracownię.

W zeszłym miesiącu ogłoszono, że w wieku pięćdziesięciu trzech lat zmarł niespodziewanie lord Dorset. Nie był żonaty, więc prawnicy poszukują jego młodszego brata, Juliusza Thorntona, który dziedziczy nie tylko tytuł, ale i majątek.

Brat lorda Dorseta opuścił Anglię dziewiętnaście lat temu, kiedy porzucił służbę w pułku grenadierów uciekając z córką sir Roberta Marlowa.

Wywołało to wielki skandal. Uprzedni lord Dorset zerwał wszelkie kontakty z młodszym synem. Tak też uczynił sir Robert Marlow w stosunku do swojej córki.

Podjeżdżając się, że pan Juliusz Thornton zajął się malarstwem, już wówczas bowiem przejawiał znaczny talent i osiedlił się we Francji. Być może zmienił nazwisko, ale prawnicy wierzą że jeśli nadal mieszka we Francji, jest na pewno znany na Montmartrze.

Przeczytawszy artykuł do końca książkę zwrócił się do Beaumonta:

- Niech Dubucheron sprowadzi mi tych adwokatów jutro rano.

- Jutro rano?

- Dziś nie mogę ich przyjąć... Beaumont spojrzał na niego z zakłopotaniem.

- Najpierw idź na rue de la Paix i sprowadź mi najlepszych krawców. Niech wezmą ze sobą kilka gotowych sukni małego rozmiaru i kilka kapeluszy. - Oczy Beaumonta powiększały się z każdą chwilą. - Następnie pójdziesz do mera i ustalisz mój ślub na dwunastą.

- Pański ślub?! - wykrzyknął majordomus. Na jego twarzy odmalowało się takie zdziwienie, że wyglądał wręcz zabawnie.

- Małżeństwo w urzędzie jest we Francji obowiązkowe - odparł książę. - Po nim urządzimy krótką ceremonię w kościele angielskiej ambasady.

- Moje gratulacje, wasza książęca mość - Beaumont odzyskał głos. - A to dopiero niespodzianka.

Książę uśmiechnął się złośliwie. Zawsze lubił zaskakiwać swego majordomusa i tym razem znów mu się udało.

- Widzę, że doszedłszy do rozstaju dróg, już podjął pan decyzję.

Księżę wybuchnął chłopięcym śmiechem.

- Tak właśnie zrobiłem!

- Przekażę pańskie polecenie Dubucheronowi i natychmiast ruszam na rue de la Paix.

- Musisz być moim świadkiem na ślubie. Nie chcę nikogo innego.

- Czuję się zaszczycony - wymamrotał Beaumont i otworzył drzwi.

- Beaumont!

- Tak, wasza książęca mość... ?

- Jeśli znajdziesz jeszcze dziś chwilę czasu, odpisz premierowi - powiedział księżę biorąc leżący na stole list.

Rzucił go w stronę Beaumonta. List zawirował i upadł u stóp majordomusa.

- Napisz, że przyjmuję stanowisko wicekróla Irlandii i że razem z żoną zrobimy wszystko, co w naszej mocy dla tego cierpiącego kraju.

Beaumont był wyraźnie zadowolony z takiego obrotu sprawy. Po wyjściu majordomusa księżę podszedł do okna i jeszcze raz spojrzął na zalany słońcem ogród.

To, co przed chwilą przeczytał, wpłynie na ich dalsze życie. Jej krewni, Dorsetowie, z przyjemnością powitają córkę Juliusza Thorntona jako księżnę Wolstanton. Jakie to ogromne szczęście, że ten artykuł ukazał się właśnie w tym momencie.

Teraz mógł myśleć już tylko o Unie. Kochał ją i wiadomość o jej pochodzeniu przyniosła mu wielką ulgę. Byłby jednak równie szczęśliwy, gdyby po prostu spędził życie u jej boku, opiekując się nią i chroniąc ją przed wszelkim niebezpieczeństwem.

Wiedział również, że oboje mają ten szczególny rodzaj ambicji, żeby żądać od życia czegoś więcej niż tylko siebie.

Razem stawiają czoło wyzwaniu, które czeka na nich w Irlandii. To ich jeszcze bardziej do siebie przywiąże.

Wczoraj w nocy prosiła, żeby jej pozwolił choć trochę uczestniczyć we wszystkim, co będzie robił. A przecież zamierza żądać od niej tak wiele. Być może jest młoda, ale ma niezwykłą osobowość, która będzie go inspirować do końca wspólnego życia.

Patrząc na ogród, miał nadzieję, że ich życie będzie właśnie takie: pełne słonecznego blasku. To właśnie Una sprawiła, że już w jego życiu zaszły radykalne zmiany. Wskazała mu nowy cel i nowe możliwości. Zaczął za nią tęsknić i wypowiadać głośno jej imię.

- Kocham cię! O Boże, jak ja cię kocham, moja maleńka!
- powiedział, jak gdyby stała obok niego.

Później po raz pierwszy od wielu lat zaczął się modlić:
„Dzięki ci, Boże, że pozwoliłeś mi ją znaleźć!”

